

AGNIESZKA SZEWCZYK

**SPOŁECZEŃSTWO INFORMACYJNE
IN STATU NASCENDI.
SUPLEMENT ETYCZNY.**

Drogi Czytelniku,
rozważ, proszę, poniższą myśl:

*„Kiedyś domy były z gliny i błota,
a serca – ze złota.*

*Teraz bywają domy ze złota,
a serca, niestety – z gliny i błota”.*

Sophie Rain

Zamiast wstępu

Domy domki, wille, rezydencje, bliźniaki, szeregowce, bloki, wieżowce, drapacze chmur... Żyjemy w zabudowanym świecie. Tu budowa dopiero się rozpoczęła, tu doszła do drugiej kondygnacji, tam widać dumnie powiewającą wiechę, a tam robotnicy wstawiają okna, tynkują ściany... Powstają domy ładne i brzydkie, szkaradne nawet, chociaż – jak mówią niektórzy – o gustach się nie dyskutuje!

Ale za parę miesięcy, tygodni czy dni – zamieszkają w tych domach ludzie, wprowadzą się różne instytucje, urzędy, będą w nich szpitale, szkoły, hotele, sklepy... W każdym z nich będą komputery w takiej czy innej postaci, często będzie ich więcej niż ludzi. Bo przecież nadal trwa budowa społeczeństwa informacyjnego.

Tablet, laptop, smartfon czy też tradycyjny wielkoekranowy sprzęt komputerowy jest członkiem rodziny, kuzynem sprzedawcy, synem dyrektora szkoły, bratem prezesa... Bo bez niego... ani rusz! I dobrze! Ma nam służyć, pomagać w pracy, nauce, życiu codziennym. To przecież oczywiste!

Ale w tych domach żyją i pracują również ludzie – i źli i dobrzy. Bywają pyszni, chciwi, zazdrośni, leniwi, gniewni, ale i radośni, cierpliwi, życzliwi, uprzejmi, roztropni... I nie zależy to od domu, bo pozory mylą. Może warto zajrzeć przez przysłowiową dziurkę od klucza i zobaczyć...

Dawno, dawno temu, pewien król w czasie potężnej burzy zablądził na polowaniu i całą zimną noc spędził w lesie. Wycieńczony, głodny błąkał się w leśnej gęstwinie. Przemoczony i wyczerpany trafił w końcu wczesnym rankiem do stojącego samotnie domu, a właściwie do ruiny, która kiedyś była domem. Zapukał do drzwi kilka razy, ale nikt nie otwierał. Zaglądał przez dziurkę od klucza, lecz w środku było zbyt ciemno, żeby coś zobaczyć. Nacisnął więc klamkę i nieoczekiwanie drzwi, skrzypiąc, otworzyły się na oścież. Drobną babinką siedziała przy stole i odwróciła się dopiero wtedy, gdy podszedł bliżej.

– Jestem przygłucha, nie słyszałam pukania. Usiądź wędrowcu przy piecu, wyglądasz na zmarzniętego. Zaraz dołożę więcej drewna i podgrzeję ci krupniku, który został mi z wczorajszego obiadu – powiedziała babinka.

Król zjadł zupę z kawałkiem chleba i poczuł jak wracają siły. Rozejrzył się po ubogim wnętrzu, podziękował za gościnę, ucałował spracowane dłonie gospodyni, po czym włożył jej na palec swój złoty pierścień. Wzbraniała się, ale król nie chciał słyszeć o odmowie przyjęcia daru. Wkrótce usłyszał nawoływania. To jego dworzanie szukali go po lesie.

Gdy wrócił do pałacu, wysłał do biednej chatki cieśli i innych robotników z rozkazem zbudowania tam pięknego, wygodnego domu, a także budynków gospodarczych. Później podarował babince kury i kozę.

Mijały lata, król się zestarzał, na polowania jeździł już jego syn. I jak to często bywa, historia się powtarza...

Królewicz odłączył się od dworzan towarzyszących mu na łowach, w lesie zastała go burza z piorunami. Rano, wycieńczony i głodny wyszedł na polanę i zobaczył piękny dom, wokół ogród i sad. Uradowany ruszył w tym kierunku, szukając pomocy. Ale na pukanie do masywnych drzwi nikt nie reagował, a dziurka od klucza była zatkana jakimś gałgankiem. Gdy nacisnął klamkę, drzwi się cicho otworzyły. Wszedł więc do przestronnego pokoju, w którym stała przy oknie duża figura Matki Boskiej, a przy

niej dwie świece i wazon z kwiatami. Podeszedł bliżej i ze zdumieniem zobaczył, że Maryja trzymała w dłoni... złoty pierścień z herbem królewskim. Zawołał więc:

– Pokój temu domowi! – Ale zamiast właściwej odpowiedzi, usłyszał wrzask i do pokoju wpadł chłop z nożem w dłoni krzycząc:

– Ty bezczelny łajdaku, chcesz stąd coś ukraść?! Wynocha! Spróbuj podejść bliżej, a spuszczę na ciebie psa!

Królewicz zebrał i błagał o pomoc, ale to tylko jeszcze bardziej rozwścieczyło chłopca.

– Gospodarzu! – zawołał królewicz – A skąd w twoim domu pierścień z herbem królewskim?

– A to chciałeś ukraść ten pierścień? Ty złodzieju! Ten pierścień mam po babce, która tu kiedyś mieszkała. I gdy umierała, to błagała mnie, żebym nie sprzedawał tego klejnotu, bo to cenna pamiątka, ofiarowana przez nią Maryi. I jeżeli klejnot przepiję, to będzie mnie nachodzić po nocach i straszyć! A ja boję się duchów i zjaw, jasne?! Ale już jazda stąd!

I na pożegnanie uderzył królewicza w twarz, po czym zatrzasnął za nim drzwi.

Trzy dni później król kazał przywołać chłopca do pałacu. Chłop pomyślał: „Dlaczego mam iść do króla? Przecież nic mu nie zrobiłem. Nigdy go nie spotkałem”.

Zaprowadzili go do sali tronowej. I król, i królewicz byli odświętnie ubrani, w koronach, z berłem w ręku. Chłop zadrżał, gdy poznał królewicza. Ten zapytał:

– Czy poznajesz mnie?

Chłop był tak zdruzgotany, że zaraz gdy kiwnął głową – padł jak długi przed tronem i wyzionął ducha!

Wg P. Lefevre

Jest takie złudne powiedzenie: ładny znaczy dobry. Nie zawsze tak jest...

Dom celebrytów, czyli ja jestem najlepszy!

– Honorka! Czytałaś dzisiejsze „Wieści Nadmorskie”?

– Nie, gdzie ja tam mam czas na czytanie. Jeszcze mi zostało pięć pokoi do sprzątnięcia. Przecież dziś przyjeżdżają nowi goście.

– Ale słuchaj! Przechodziłam koło recepcji i tam na stoliku leżało kilka egzemplarzy. Na pierwszej stronie zobaczyłam zdjęcie tego sławnego sportowca, jak mu tam było? Chyba Henryk, co? Czekaj, zaraz zerknę do gazety, bo wzięłam jeden egzemplarz, żeby ci pokazać. On mieszkał przecież na twoim piętrze w pokoju 232. Tak? No dobrze, pamiętam. Przecież jak wyjechał to zostawił w pokoju taki syf, że wołałaś mnie do pomocy. Nie mogłaś dać rady z łazienką, tak wszystko było uświnione.

– Tereniu! Już kojarzę tego gościa. Na balkonie stała po nocnej libacji cała bateria butelek po wódzce, a za kotarą – sterta puszek po piwie. A kelnerzy latali z wykwintnymi potrawami kilkanaście razy. Petami od papierosów upstrzony był dywan, praktycznie codziennie tyle palił, że dywan zgłosiłam do wymiany. Mówiłam kierownikowi, żeby obciążył go kosztami, ale spojrzął na mnie dziwnym wzrokiem i wykrzyknął: – Takiego

znanego gościa? Przecież wokół niego kręcą się wciąż dziennikarze. On robi szum medialny! Przecież on jest mistrzem, zwycięzcą, chyba na mistrzostwach Polski, co?

– Oj, Honorka, ciekawa jestem, jakim sposobem on zdobył te medale? Widziałaś, żeby chodził gdzieś na treningi? W nocy balował, to w dzień spał. No może tak się zachowywał tylko na urlopie? I wiesz, co jeszcze? W łazience na oknie lub za toaletą znajdowałam fikuśne staniki i coś, co chyba było majtkami. Dziwne jakieś!

– No, może tak szalał tylko na wolnym, ale facet był bardzo arogancki i wyniosły. Traktował mnie jak człowieka niższej kategorii. A jak wrzasnął na mnie, gdy zapytałam, o której zwolni pokój, bo chcę generalnie posprzątać, to – lepiej ci tych słów nie powtórzę...

– Jak już tak o nim gadamy, to pokaż, co tam piszą w tych „Wieściach”. Ojej, nie dam rady przeczytać, bo okulary zostawiłam w torebce.

– To przeczytam ci głośno, przecież należy się nam chwila wytchnienia:

– *Witam wielkiego mistrza, sportowca roku! To zaszczyt dla naszej miejscowości, że zechciał pan spędzić u nas urlop. Czy może pan powiedzieć parę słów dla*

Czytelników naszej miejscowej prasy – poprosił wójt Kątów Morskich. – Słyszałem o panu w radiu i telewizji. Pani redaktor – do roboty!

– Ależ z przyjemnością! Bardzo mi się tu podoba. Wszyscy skaczą wokół mnie, proszą o autografy! No, w końcu jestem przecież najslawniejszym sportowcem, prawda pani redaktor?

– No, no.. oczywiście, jest pan, znaczy, może pan opowie o początkach pana kariery.

– Po co mówić o początkach. Opowiem o swoich sukcesach...

Ale Honorka – to pomnę, bo to są same jakieś skróty np. KSP, MSK, różne miasta... Najważniejsze jest dalej... Redaktorka zapytała go, dlaczego tak często zmieniał kluby sportowe. A on zaczął wymieniać jakieś bająnskie sumy, za które go kupował ten czy inny prezes. Gdy redaktorka zapytała go, skąd klub np. w Jaroszynie miał tyle tysięcy dolarów, facet obruszył się i wyzwał ją od k..., że śmie wątpić w jego słowa! I ona, odważna, o tym napisała! I czytam dalej:

– A czy mógłby pan powiedzieć Czytelnikom o swoich osiągnięciach w ciągu minionych dwóch, trzech lat, bo

przygotowując się do tej rozmowy, szukałam informacji o panu w internecie, ale bez skutku – kontynuowała nie zbita z tropu redaktorka.

– To pani źle szukała! O mnie nie było informacji? Bzdura! W internecie jest przecież wszystko! Przecież ja jestem taki wspaniały, że nie muszę już się wysilać, bo nic nie umniejszy mojej wielkości! Dobra, kończymy, robimy kilka zdjęć dla potomnych, bo jestem już zmęczony tym gadaniem.

– Dziękuję, panie Henryku za udzielenie wywiadu. Widzę, że mamy różne spojrzenia na sukces, prawda? A wie pan, co znaczy słowo „pycha”? Odpowiedzi – nie było.

– I co Tereska? To koniec?

– Nie, tu jest jeszcze drobnym drukiem dopisek, że – cdn., i że to już był trzeci wywiad z celebrytą goszczącym w naszym hotelu.

– A jest gdzieś napisane, kto z nim rozmawiał, bo wiem, że w redakcji pracuje moja sąsiadka. Ma na imię Rita.

– Są tylko inicjały R.Z. To pewnie ona. Musimy znaleźć poprzednie numery „Wieści”, zobaczę na recepcji

jak będę wychodzić po zmianie. A teraz już bierzmy się do roboty!

Ewelinka z recepcji znalazła pod ladą gazetę z poprzednim wydaniem. Co prawda, trochę poszarpaną, tylko z jednym zdjęciem, bo jej córka zbiera fotosy znanych ludzi, o dziwo, w tradycyjnym albumie, a nie w smartfonie, a tekst był w całości. Wieczorem zajrzałam do środka z zamiarem przejrzenia tego wywiadu, bo po poprzednim miałam jakąś "zgagę", ale tak mnie zainteresowała historia pani Liwii, że... dwa razy przeczytałam cały tekst! I nawet się poryczałam!

– Dzień dobry, pani Liwio! Jestem redaktorką „Wieści Nadmorskich”. Mam na imię Rita i ośmielam się prosić o parę słów dla naszych Czytelników.

– Ach! Czy pani redaktor sądzi, że to kogoś zainteresuje? Przecież ja jestem już wiekowa, śpiewam rzadko, mój złoty czas – minął.

– Pani Liwio! Ja bardzo panią cenię, moja mama opowiadała mi, jak pani wspaniale śpiewała arie sopranem na wielu scenach w Polsce i praktycznie na całym świecie. Jak tylko zobaczyłam panią w niedzielę na Mszy świętej pomyślałam, że "wytropię", gdzie pani się

zatrzymała – i poproszę o wywiad. Bo w niedzielę zabrakło mi odwagi, żeby z panią porozmawiać.

– Droga Rito, chyba mogę tak mówić, prawda? Szkoda, że nie podeszłaś do mnie. Przecież nie jestem jakąś niedostępną damą, ale zwyczajną starszą panią. Tylko mam prośbę – niech pani nie robi mi zdjęć, dobrze? Ptaki też pięknie śpiewają, nawet piękniej niż ja.

– Oczywiście, jak pani sobie życzy. Ale przecież, jest pani znana i sławna na całym świecie. Pani śpiew poruszył wiele serc...

– Tak, rzeczywiście tak było! Ale moje serce poruszył zbyt późno... Może właśnie o tym opowiem... Już w czasie studiów na Akademii Muzycznej uważałam się za pępek świata. Byłam młodą, mówili, że piękną kobietą z dobrze zapowiadającym się głosem. Egzaminy zdawałam śpiewając. Byłam najlepszą studentką na Akademii. Nawet u najgroźniejszego profesora miałam piątkę, ale zdobyłam ją, wstyd powiedzieć, „przez łóżko”. Wtedy dałabym wszystko, żeby tylko nie utracić palmy pierwszeństwa. Pamiętam, jak na konkursie studenckim, na który przyjechali koledzy ze wszystkich polskich uczelni muzycznych, przyznano mi – trzecie miejsce. Wpadłam

wtedy w straszny gniew, nie mogłam ścierpieć sytuacji, że ktoś jest ode mnie lepszy! Drwiłam z Karoliny i Diany, wyszydzałam ich śpiew i kreacje, aż się popłakały. Załatwiłam więc sobie dodatkowe lekcje śpiewu, moich rodziców było stać na takie wydatki.

Kariera zawodowa – po dyplomie z wyróżnieniem – potoczyła się wartko. Zaproszenia do renomowanych sal koncertowych posypały się jak z rękawa! Wszystko to spowodowało, że miałam nadmiernie wysoką samoocenę i, jak stwierdził psycholog, utrzymywała się we mnie potężna wiara we własną wartość i nieograniczone możliwości. Jak się dowiedziałam po latach, byłam odbierana jako wyniosła, pyszna, niedostępna diva! Ale ja wówczas tego nie widziałam. Zarozumiałość i zazdrość z wściekłością, gdy kogoś chwalono i nie daj Boże nagradzano bardziej niż mnie, opanowały mój umysł całkowicie.

Przed kolejnym, prestiżowym konkursem, na który zgłosiły się trzy moje potencjalne rywalki, postanowiłam działać, aby zapobiec kolejnemu mojemu upokorzeniu. Bo tak odbierałam sytuacje, gdy to nie ja zdobywałam najwyższe laury.

Udając życzliwość i chęć zaprzyjaźnienia się – no bo przecież wszystkie kochamy śpiew nad życie – zorganizowałam wczesnym wieczorem, w swoim pokoju hotelowym uroczystą kolację. Dziewczyny, wszystkie młodsze ode mnie o dobrych parę lat, czuły się zaszczycone, że taki ktoś, jak ja, chce się z nimi spotkać.

„Babska” kolacja mijiała w dobrej, milej atmosferze, opowiadałam im o swojej karierze, przytaczałam różne anegdoty i zdarzenia z artystycznego świata. W pewnym momencie zaproponowałam chwilę przerwy i powiedziałam, że byłoby dobrze, gdybyśmy przebrały się w suknie, w których jutro staniemy na scenie. Sugerowałam, że z mojego doświadczenia wynika prosty związek kroju sukni, kształtu dekoltu itp. z jakością śpiewu i upragnionego sukcesu.

Ochoczo na to przystały i pobiegly do swoich pokoi. W międzyczasie kelner zmienił zastawę, zamówiłam lekkie drinki, owoce i drobne ciasteczka. W międzyczasie zrobiłam coś, droga Rito, o czym trudno mi mówić – ale nie kryję się z tym. Wiem, że moi fani będą zszokowani, że stracę ich sympatię, ale niech to będzie moja pokuta...

Otóż, wlałam im do kieliszków z drinkiem po dwie łyżki syropu na przeczyszczenie. Wcześniej sprawdziłam, że nie ma on smaku lekarstwa, bez aromatu lekkich ziół. Żadna się nie zorientowała, że pije "wzbogacony" napój...

Rano nie przyszły na śniadanie. Przesłuchania do konkursu „Najpiękniejszy sopran” rozpoczynały się o dziesiątej. Przyszła tylko Ksenia i Arleta, obie blade, wymizerowane, slaniające się na nogach. Podeszły do mnie i szepnęły, że w nocy wcale nie spały tylko kursowały do toalety. Sądziły, że zaszkodziła im sałatka, jaką jadły u mnie na kolację, a może galareta z nóżek, bo była jakaś kwaskowa. Odpowiedziałam, że ja jadłam tylko krewetki i wędliny, bo po południu skusiłam się na kawałek sernika, serwowany w tutejszej kawiarni. Powiedziały też, że Kaja wylądowała nad ranem w szpitalu, bo przez odwodnienie, miała kłopoty z ciśnieniem i tętnem. Właśnie dzwoniła, że po kroplówkach czuje się lepiej, ale lekarz wykluczył jej dzisiejszy udział w przesłuchaniu. Mówiła, że jak wyjdzie, złoży wniosek do Sanepidu o sprawdzenie potraw z hotelowej kuchni. Przeraziłam się nie na żarty, ale po chwili doszłam do wniosku, że kieliszki od feralnego

drinka z pewnością są już dawno umyte i kontrola nic nie wykryje, więc mi się upiecze.

Oczywiście z przesłuchania byłam zwolniona z racji swojej pozycji w rankingach śpiewaków i bez problemu zajęłam pierwsze miejsce w konkursie. Jestem najpiękniejszym sopranem! Wiązanki kwiatów po konkursowej gali nie mieściły się w garderobie, złożyłam dziesiątki podpisów na programach dla łowców autografów, udzieliłam wielu wywiadów, ale jakoś dziwnie mnie to nie cieszyło. Ksenia i Arleta odpadły już po przesłuchaniu. Czy miałam wtedy wyrzuty sumienia? Chyba nie, osiągnęłam przecież zamierzony cel. Dziewczyny są młode, jeszcze będą stawały na szczytach.

Mijały lata, byłam już coraz starsza. Także w śpiewie zaczęła się sprawdzać teza, że świat należy do młodych. Przestałam zgłaszać się na organizowane wciąż konkursy. Zdarzały się jeszcze zaproszenia do teatrów muzycznych i operowych na gościnne występy, ale coraz częściej miałam wolne wieczory. Tak, że gdy siostrzenica zapytała, czy zechciałabym zaśpiewać parę kolęd, bo w katedrze organizują koncert przy żłobku w Trzech Króli, przyjąłam zaproszenie.

Kolędy kojarzyły mi się z dzieciństwem, zapachem choinki, pasterką... Kiedy to ja byłam ostatni raz w kościele? Nie mogłam sobie przypomnieć, tak to było dawno. Na wszelki wypadek wyszukałam w internecie teksty i nuty kilku kolęd, i przećwiczyłam w domu. Co prawda, moja mama mówiła, że Polacy mają kolędy zapisane w genach, ale...

Pojechałam do katedry na osiemnąstą, a tu okazało się, że za chwilę rozpocznie się Msza święta. Krótka, jak zapowiedział ksiądz, ze względu na koncert. Usiadłam więc w ławce i... stało się coś dziwnego. Przed oczyma, tak jak film, zaczęły płynąć wspomnienia, osoby, wydarzenia z mojego życia, a w głowie brzmiały mi słowa siostrzenicy, zachęcającej mnie do zaśpiewania kolęd:

„– Ciociu, jesteś gwiazdą! Uświetnisz nasz koncert, ściągniesz tłumy”.

Te komplementy miło lechtały moją pychę! Jestem gwiazdą, tak jak ta betlejemska! Co tu się dzieje, czy ja śnię, czy będzie ten koncert, czy już teraz mam wystąpić? Grały organy, ludzie głośno śpiewali: „Pójdźmy wszyscy do stajenki...”. Jakaś mała blondyneczka w ławce obok wydawała mi się podobna... do mnie. No tak, ja tak

wyglądała przeszło siedemdziesiąt lat temu. Ona też pięknie śpiewała.

Trochę oprzytomniałam, bo nagle poczułam silny skurcz i ból brzucha. I jeszcze jeden i jeszcze... Czy tu gdzieś jest toaleta? – pomyślałam w popłochu. Na szczęście przechodził koło mojej ławki jakiś ksiądz zbierający na tacę i wskazał mi wyjście, obok którego jest napis WC. Ledwie żywa tam dotarłam i spędziłam w tym „przybytku” dobrą godzinę.

Gdy w końcu, zupełnie wykończona próbowałam z niego wyjść, nie mogłam otworzyć drzwi. I do tego zauważyłam, że mój smartfon został w samochodzie. Z tej pułapki wybawiła mnie na szczęście jakaś mama z synkiem, który wołał rozpaczliwie:

„– Mama, chcę kupę”!

Drzwi otworzyły się od zewnątrz jakimś cudem, wyszłam na miękkich nogach, i mowy nie było, żebym cokolwiek mogła zaśpiewać. Zresztą koncert już się chyba kończył, bo ludzie zaczęli wychodzić. Dowlokłam się do samochodu. W smartfonie było dziesięć SMS-ów od siostrzenicy, najpierw wścieklej, bo proboszcz robił jej wyrzuty, że mnie nie ma, a przecież byłam ujęta w

programie koncertu, a tu taki zawód dla słuchaczy. Ostatnie SMS-y były już w duchu troski: „Ciociu, gdzie jesteś, przecież przed katedrą stoi twój mercedes? Co się stało? Zaraz po koncercie, dzwonię na policję i pogotowie!”.

Zanim ruszyłam, posiedziałam jeszcze jakiś czas, żeby zebrać myśli. Bóle minęły jak ręką odjął, poczułam nawet głód. Co mogło mi zaszkodzić, właśnie w tym czasie, gdy miałam wystąpić? I wtedy nagle, jakby piorun strzelił, pojawiło się wspomnienie „tamtej” kolacji w towarzystwie Kseni, Arlety i Kai. I butelki po syropie, którą ze strachu wyrzuciłam na ulicy do kosza, a nie w hotelu.

Panie Boże! Czy teraz to Ty dałeś mi się napić takiego syropu? Czy ten zły czyn sprzed wielu lat, zaowocował moją dzisiejszą słabością? Może nie chciałeś, żebym śpiewała przy Twoim ołtarzu z brudnym sercem? Znowu w swojej pysze żądna oklasków, sławy, artykułów w prasie, nagrań w sieci? Muszę wpierw z Tobą się pojednać, prawda?

Droga Rito! Od tego czasu moje życie się zmieniło. Jestem blisko Boga, śpiewam na Jego chwałę. I dziękuję Mu za swój głos, który jest Jego darem!

– Pani Liwio! Ślicznie dziękuję za to piękne świadectwo! Zapraszamy do nas za rok!

Następnego dnia dałam „Wieści” Honorce. Niestety na recepcji nie było już tego trzeciego numeru. Ale mnie coś tknęło i w przerwie śniadaniowej przejrzałam stertę makulatury w podręcznym magazynku. Wiedziałam, że kierowniczką kuchni prosiła o składanie do specjalnego pojemnika gazet i tektury z opakowań, bo przy szkole, do której chodzi jej syn, stoi kontener, do którego można makulaturę wrzucać, w celach przekazania zebranych ze sprzedaży funduszy na cele misyjne w Afryce. I znalazłam poszukiwany numer! Powiedziałam Honorce, że przeczytam pierwsza, bo z gazety patrzy na mnie jakiś znajomy facet!

Skąd ja go znam? Myślałam przez chwilę, po czym spojrzałam na podpis pod zdjęciem. No tak, to przecież ta facjata, która wciąż pojawia się w telewizji.

Nieraz słyszałam wywiady z nim, również w radiu, jak robiłam coś w kuchni, a mąż jadł spóźniony obiad. Krzyczał wtedy do mnie:

– Zrób głośniej, chcę posłuchać co mówisz!

Zauważyłam, że popiera jego zdanie, jego opinie o sytuacji w kraju i na świecie. Gdy się nieraz krzywiłam i mówiłam do męża, że nie podobają mi się jego wypowiedzi, że Pismo Święte mówi coś przeciwnego na temat np. homoseksualistów czy o kobiecie i mężczyźnie, mąż się denerwował i podniesionym głosem zapewniał, że to bardzo mądry człowiek, że idzie z duchem czasu, że ja się nie znam itd.

Chyba dam mężowi te „Wieści” do przeczytania – pomyślałam. Niech się dowie czegoś o swoim faworycie!

Przerwa śniadaniowa się skończyła, więc zebrałam się do lektury „Wieści” dopiero w domu, późnym popołudniem. Tekst był zatytułowany: „Polityk Czesław Pestka o sobie! Przeczytaj i podaj dalej”! Zorientowałam się, że wywiad prowadził inny redaktor – tym razem był to redaktor Mietek, z-ca redaktora naczelnego.

Rozpoczął pan Czesław!

– *Panie redaktorze! Zanim rozpoczniemy rozmowę, żądam, aby przed wydaniem tekst był autoryzowany przez wskazaną przeze mnie osobę z mojego biura. Ja oczywiście nie mam czasu na takie duperele, ale muszę być ostrożny, bo opozycja przeinacza moje słowa. A moje słowa są święte! Czy to jest jasne? Jak coś mówię, to słuchają mnie miliony! Rozumie pan? Miliony! Może pan myśli, że mam za wysokie mniemanie o sobie? No bo rzeczywiście mam! Niech pan myśli co chce, ale każdy polityk musi być butny, odważny, zadufany w sobie, bo inaczej by go zgnetli, zdeptali! Czasem nawet muszę być agresywny, bo jak widzę te durne plakaty, które trzymają jakieś baby lub gdy ktoś stoi na moim wiecu z krzyżem, a inni mówią w kółko „Zdrowaś Mario...”, to bierze mnie wściekłość. Co, oni może myślą, że ja trzymam z czartem? To jakieś bajki ze średniowiecza. Boga nie ma, szatana też nie ma! Jestem JA! Ja wiem, co jest dobre a co złe, co jest prawdą a co fałszem! Nie na darmo zrobiłem doktorat, prawda? No co pan, panie redaktorze, tak na mnie patrzy? Mam nadzieję, że zgadza się pan ze mną, bo w przeciwnym razie...*

– *Panie Czesławie! Czy mogę zadać panu jakieś pytanie, bo na tym polega wywiad? Poczytałem o panu na stronie partii, którą pan obecnie reprezentuje i...*

– *No pytaj pan, byle prędko, bo czas to pieniądz, chyba pan, redaktorze słyszał takie powiedzenie?*

– *Oczywiście, że słyszałem! Jak ma być prędko, to mam takie pytanie: Dlaczego zmienił pan ostatnio przynależność partyjną?*

– *Bo tam nie mogłem się rozwijać! Ku...! Chciałem załatwić sobie jakiś intratny stółek! Nie cierpię być w cieniu, słuchać szefa, gadać tak jak on mi zagra. Dlatego jestem teraz w nowej partii, wkupiłem się, mówiąc szczerze – pewnymi danymi, których potrzebowali moi obecni koledzy. W dobie internetu, to nic trudnego, wystarczy nająć odpowiedniego człowieka, który wysysie z dysków konkurencji cenne dane. To się dzieje na całym świecie! Nie boję się przyznać do tego, bo nic mi nie zrobią. Te chol...! Za dużo o nich wiem i będą się bali, że zacznę sypać! A tu szykują już dla mnie właściwe miejsce! I dieta jest o wiele wyższa niż poprzednio! Muszę myśleć tylko o sobie! I pan wybaczy, redaktorze, że nie będę się*

dzielić swoją wiedzę na ten temat! Tylko mnie pan zdenerwował, kur..!

– Panie Czesławie! A nie mógł pan zwyczajnie poprosić, żeby pana przyjęli w swoje szeregi? Ta partia jest o wiele mniejsza niż poprzednia, więc chyba im zależy na nowych członkach?

– Nikogo o nic nie proszę, bo to uwłacza mojej godności! Nie mam też zwyczaju dziękować, bo nie widzę powodów do wdzięczności. Mnie się wszystko należy, przecież jestem wybitnym politykiem!

– To może pan chociaż przeprosi Czytelników za niecenzuralne słowa, użyte w czasie tego wywiadu. I za pewne, istotne nieścisłości?

– Nigdy nikogo nie przepraszałem i nie zamierzam tego robić, a tym bardziej przyznawać się do błędu! A właściwie to o co panu, redaktorze chodzi?

– W pana notce biograficznej nie ma słowa o tym, że obronił pan doktorat. Jest tylko wzmianka, że studiował pan w trybie wieczorowym na studiach licencjackich na kierunku wychowanie przedszkolne. Czy skończył pan te studia i obronił licencjat? Czy nie przemawia przez pana pycha?

– A co pan jest taki ciekawy? Nie ma to większego znaczenia. Pan mi chyba zazdrości popularności. Proszę sobie przypomnieć, że rozmawia pan ze znanym, wybitnym politykiem! A pan jest jakimś zasmarkanym gryzipiórkiem! Jeśli w tekście będą jakieś niewłaściwe sformułowania czy też szkodliwe dla mnie fragmenty, to gwarantuję, że mój sekretarz to wszystko przejrzy i wprowadzi swoją korektę. I poinformuję pana szefa, że pisze pan nieprawdę. A co zrobi pana szef? Wyrzuci pana z pracy, bo kto chciałby ze mną zadzierać?

P.S. Drodzy Czytelnicy! Na polecenie Redaktora Naczelnego zamieściłem w „Wieściach” oryginalny tekst wywiadu, który nagrywałem na podstawie pisemnej zgody pana Czesława, „wybitnego polityka”, jak się sam określił. Zachęcam Państwa do pogłębionej refleksji po lekturze tego tekstu. I do trzeźwego spojrzenia na politykę. Być może nie będę mógł już przeprowadzać kolejnych wywiadów, bo w najlepszym razie przeniosą mnie do działu miejskiego i będę pisał o dziurach w chodniku, wałęsających się psach, czy o nocnych hałasach na plaży.

*Pozdrawiam serdecznie, red. Mieczysław Kowalski.
Doktor Nauk Społecznych*

Następnego dnia, Honorka przeczytała z wypiekami na twarzy wywiad z panem Czesławem i do końca przerwy śniadaniowej rozmawiałyśmy oczywiście tylko o „naszych celebrytach”.

– Nigdy, przenigdy nie chciałabym zostać sławną osobą. Patrz, co ta sława i popularność robi z człowieka! Teresko! Dałabyś radę opanować tę żądzę, bo ja z pewnością nie. I wpadłabym w dół pełen plugastwa.

– Honorko, ja też nie jestem pewna swojej reakcji. Na szczęście popularność nam nie grozi, prawda?

– Na szczęście, Tereniu! Już ja wolę swoje zajęcie. Podobała mi się przemiana tej śpiewaczki – ona dała radę odbić się od dna! Może przyjedzie do nas za rok i z nami porozmawia?

Dom za kratami, czyli co z tego mam?

– Halo, Paweł? Witaj! Słuchaj, kiedy masz tę obronę pracy doktorskiej? Dyrektor mnie dziś pytał o termin, ale chyba mi nie mówiłeś, co?

– Oj, stary, lepiej mi nie przypominaj, bo na samą myśl ciarki mi chodzą po plecach.

– Tak się denerwujesz? A przecież chwaliłeś się, że recenzje masz dobre, że promotor przychylny, ta obrona to tylko formalność.

– Dobrze ci gadać, bo ty już chyba zapomniałeś o swojej. A jak opowiadałeś, że nagle wstał jakiś facet, którego nie znałeś i zaczął zadawać dziwne pytania? Przecież na taką obronę może przyjść praktycznie każdy. Ten "twój" okazał się dyrektorem jakiejś konkurencyjnej firmy. Ty pisałeś o handlu przez internet na przykładzie branży kosmetycznej „Bobo”, a on ma biznes „Dzidzius”, czy jakoś tak?

– Ale dałem radę odpowiedzieć! Promotor mnie nauczył, jak w takich przypadkach reagować: zawsze grzecznie, z kulturą, nie dać się ponieść emocjom. Pamiętaj, najlepiej tak: „– Ten pogląd słyszę dość często, ale...” – i tu mówisz o swoich wynikach badań, lub: „–

Rozumiem panią, ale...” itd. Na pewno wyjdiesz z tego z honorem. Ja mam doktorat z zarządzania i wiem już, że w naszym ZK dostanę stanowisko ds. zarządzania przepływem informacji. To taka potrzeba czasu! Żyjemy przecież w społeczeństwie informacyjnym.

– No dobrze! Ale do ciebie przyszedł biznesmen, a jak na obronę zejdą się jakieś żulki, męty spod budki z piwem czy inna patologia? I choćby dla hecy zaczną gadać głupoty, bo ich kumple siedzą u nas „zapuszkowani”?

– Paweł! Wątpię, że tak się stanie. Po pierwsze, skąd się dowiedzą o twojej obronie, przecież chyba nie studiują terminarza obron na naszym uniwerku, a po drugie – na salę nie są wpuszczane osoby będące „pod wpływem”, a tacy osobnicy, wiesz dobrze, z zasady nie trzeźwieją. No dobra, muszę kończyć. To kiedy w końcu ma być ta obrona?

– Za dwa tygodnie, we czwartek o dziesiątej w sali 126 na Wydziale Nauk Społecznych, bo tam jest Katedra Psychologii Penitencjarnej, w której pracuje mój promotor. Ja mam teraz urlop szkoleniowy, wracam na służbę trzy dni po obronie. A właściwie po co dyrektor

chce znać termin? Czyżby się wybierał? To ja tam chyba dostanę zawału, jeszcze przed rozpoczęciem!

– Paweł! Myślę, że nawet jak przyjdzie, to nie będzie cię pogrążał, tylko chwalił. Przecież jak wnioskowałeś o możliwość podjęcia studiów doktoranckich, to na odprawach stawiał cię za przykład innym, jak to pnieś się po szczeblach kariery w Służbie Więziennej, pamiętasz? Na pewno szykuje ci nowe stanowisko w naszym ZK. No, trzymaj się! I nie daj się ponieść nerwom. Pamiętasz, jak przed obroną magisterki pytałem cię, czy powtarzałeś materiał? A ty odpowiedziałeś z humorem: „– Powtarzałem, powtarzałem w kółko: Będzie dobrze, będzie dobrze”!

Roześmiałem się na to wspomnienie... Ale doktorat to zupełnie coś innego! Marzę, żeby przygotować taką prezentację swojej pracy, żeby uczestnicy obrony „padli na kolana”. Powinni przecież docenić mój trud!

Następnego dnia zadzwoniła sekretarka z informacją, że dyrektor proponuje, jak to nazwał, „próbna obrona” na terenie ZK, dla pracujących funkcjonariuszy. Wszyscy chętni dojadą do Warszawy na uniwersytet, a chcieliby posłuchać autoreferatu, bo temat jest interesujący.

– Pawełku – przekonywała mnie pani Jola – myślę, że dyrektor chce dobrze. Otrzaskasz się z publiką, to przecież sami swoi, a koledzy potraktują twoje wystąpienie jako szkolenie. Przecież u nas jest wielu osadzonych, mówiąc potocznie za chciwość, a nie, jak mówią – za niewinność. A pisałeś właśnie o tym, prawda?

– No dobrze, przecież nie będę się narażał dyrekcji. Jakoś to przeżyję. Pani Jolu, ale najwcześniej za tydzień, bo muszę się odpowiednio przygotować.

Kolega po informatyce pomógł mi zrobić profesjonalną prezentację multimedialną ze stosowną grafiką, animacjami, gifami i filmami wideo. Tekst wystąpienia opanowałem na pamięć, ćwicząc synchronizację ze slajdami przed „groźnym” audytorium – żoną, synem i córeczką oraz naszym Frankiem, to znaczy psem husky. Co prawda, ci dwaj ostatni widzowie nie byli zbyt zainteresowani tym, co mówiłem, ale zmieniające się obrazki na ścianie śledzili na bieżąco.

Na „próbną obronę” do naszej sali szkoleniowej przyszło dużo osób, zarówno dyrekcja oraz kierownicy oddziałów i służb, jak i koledzy, pracujący bezpośrednio z osadzonymi.

Zapewniłem zebranych, że badania prowadziłem anonimowo, w różnych zakładach karnych, dlatego proszę, żeby nie łączyć tego, o czym będę mówił, z konkretnymi osobami osadzonymi u nas, chociaż być może historie ich życia są podobne. Oczywiście imiona są zmienione, inne dane, które mogłyby ich zidentyfikować, również.

Po tym wprowadzeniu, na ekranie pokazał się pierwszy slajd z tematem mojej pracy i planem wystąpienia. Zapadła cisza, doniesione krzesła zostały zajęte, zacząłem więc, opanowując drżenie głosu:

– Szanowni Państwo! Celem mojej pracy doktorskiej była analiza i systematyzacja przyczyn skazania grupy wybranych osób z rozszerzeniem na ich sytuację życiową. Wszyscy badani (w sumie sto pięćdziesiąt osób) mieli postawione zarzuty, które sprowadziłem dla celów badawczych do – chciwości. Właściwie chciwość, czyli „bożek posiadania” zawładnął nimi aż do poziomu obsesji psychicznej. Hipoteza główna mojej pracy brzmi: „Ufność w gromadzone przez siebie dobra, szukanie w nich zabezpieczenia na przyszłość i chęć posiadania coraz więcej i więcej, staje się u człowieka motorem działania,

często prowadzącego do czynów przestępczych”. W pracy zastosowałem metodę:

- przeglądu i analizy literatury dotyczącej przedmiotu badań,

- sondażu diagnostycznego w formie wywiadu,

- analiz statystycznych do opracowania wyników.

Teraz przedstawię państwu sylwetki wybranych osób, z którymi przeprowadzałem wywiady. Rozmowy z nimi oraz informacje, które uzyskałem z udostępnionych mi akt sądowych, dały możliwie pełny obraz przyczyn i skutków chciwości, co zamieściłem w pracy. W tej prezentacji, w związku z limitem czasu ustalonym na obronę, omówię tylko niektóre sekwencje wydarzeń z życia osadzonych. Pominę zestawienia statystyczne, które są załącznikiem do autoreferatu.

Arek – pochodzi z patologicznej rodziny. W domu na porządku dziennym były awantury, bijatyki, wyzwiska. Matka wychowywała pięcioro dzieci, ojciec pracował w zakładzie stolarskim, brał też różne fuchy. Ponieważ miał zmysł artystyczny, uchodził za złotą rączkę, więc podstawowe potrzeby rodziny zaspokajał. Jednak, gdy Arek prosił o coś więcej, o kieszonkowe czy też o kupno

modnej bluzy, słyszał odpowiedź: „– Załatw to sam! Masz tu telefon do tartaku, tam potrzebują rąk do pracy”.

Na początku próbował dorabiać, ale jak teraz mówił: „nie miał weny do roboty”. Zaczął więc wyciągać rękę po to, co do niego nie należało. Tak „załatwił” sobie upragnioną bluzę na straganie, potem kurtkę, bajeranckie buty na przygranicznym targowisku.

Zachęcany sukcesami na tym polu, zaczął sięgać po kasę. Zagadując sprzedawcę, wkładał łapę do szuflady, pudełka, portfela z utargiem. Ale wciąż mu było mało. Chciał mieć więcej i więcej, kradzież stała się sposobem na zarabianie! Chciał szpanować przed dziewczynami, stawiać im drinki, zapraszać do lokali. Wszystko jednak skończyło się w... poprawczaku, bo jak opowiadał – głupio wpadł! Nie nauczył się tam rozumu – przyznał ze skruchą, bo pragnienie pożądania cudzej własności realizował po wyjściu z poprawczaka – kradnąc samochody.

Wdał się w interesy z mafią samochodową, był „cenionym fachowcem”, bo od kolegów w poprawczaku zdobył wiedzę, jak otwierać i uruchamiać nawet najbardziej chronione wozy. Ale cóż, idylla się skończyła, gdy jego była dziewczyna z zazdrości o kolejną laskę,

bardziej nadzianą, złożyła na niego donos do prokuratury. Teraz siedzi za swoje!

Zdzich był biznesmanem, tak jak mówi – średniej klasy. Wciąż mu brakowało kasy na inwestycje, a pragnienie posiadania i pomnażania swego dorobku przez to nie spełniało się.

„– Gdybym miał jeszcze przynajmniej trzy filie w uzdrowiskach nadmorskich, to kasa płynęłaby strumieniem” – marzył. „– Bo przecież lody na wakacjach to towar pierwszej potrzeby, prawda? Ale cóż, cen nie mogłem podnosić w nieskończoność, bo straciłbym klientów. Zwalnianie personelu – groziłoby zmniejszeniem produkcji. Zmuszać ludzi do wydajniejszej pracy...? Próbowałem tego ostatniego, ale jak pracownica zasłała przy paczkowaniu lodów i musiałem wezwać pogotowie, to przyjechała komisja skontrolować warunki bhp i jeszcze zapłaciłem karę. Pracownicy solidarnie stanęli za koleżanką i zeznali, że mimo upału wyłączyłem wentylatory, bo oszczędzałem na prądzie. I taki to był interes! Spodziewałem się po sezonie kokosów, a tu nici z moich zamierzeń.

Gdy opanował mnie lęk przed jakąkolwiek stratą, co jest – jak mi tu powiedziała pani psycholog – oznaką chciwości w wersji max, to zacząłem wstrzymywać pracownikom słuszną zapłatę. No bo im dłużej pieniądze były na moim koncie, to dla mnie pracowały. Ale co z tego było? Grosze! Faktycznie pensje nie były, mówiąc delikatnie, zbyt wygórowane, wręcz przeciwnie. A gdy kierownik produkcji zagroził, że złoży pozew do sądu pracy, to nawet musiałem dać co niektórym premię, żeby cicho siedzieli. Całą noc liczyłem, czy ta premia mi się bardziej opłaca, czy też proces w sądzie i spodziewane - zgodnie z prawem – grzywny. Znow straciłem! Rwałem sobie resztki włosów z głowy! Ale dlaczego tu siedzę, panie Pawle? Bo zadarłem z Urzędem Skarbowym. I to na niemałe sumy! W PIT-ach wpisywałem nieprawdziwe dane, z których wynikało, że odliczam sobie spore kwoty, bo pieniądze przeznaczyłem na cele charytatywne – na różne fundacje zbierające na chore dzieci, na cele kultu religijnego, chociaż w Boga od dawna nie wierzę... Przy pomocy programów graficznych drukowałem sobie ozdobne dyplomy, z podziękowaniami za ofiarność, fałszowałem podpisy, np. biskupa czy prezesa Fundacji

SOS. Obwiesiłem nimi wszystkie ściany w biurze, naiwnie licząc w swoim amoku wzbogacania się, że to wystarczy przy ewentualnej kontroli Urzędu Skarbowego. Ale system komputerowy był bezlitosny i wykazał, że żadnych tego typu przelewów nie było! I teraz mam za swoje, a w kasie i sejfie – pustki.

Kapelan mówił w niedzielę w kaplicy, że serce chciwego człowieka tak naprawdę jest puste. Bo jest zamknięte na drugiego człowieka. Chciwiec jest egoistą, bo brak mu hojności, brak empatii. To prawda! Nie mogę zapomnieć zawiedzionych oczu jakiejś małej dziewczuszki, która prosiła mnie o jedną gałkę lodów dla młodszego braciszka. Mały siedział w wózku i zanosił się od płaczu, bo podczas nieporadnego jeszcze chodzenia, stłukł sobie kolanko. Widziałem to przez szybę... A ja ich wygoniłem ze sklepu i wyzwalałem od dziadów i żebraków! Teraz strasznie mi wstyd!”.

Karol – on nie był zbyt rozmowny, ale ze strzępków zdań wywnioskowałem, że jest to przypadek dramatycznego zawężenia pragnień, marzeń i ideałów, kiedyś mądrego, wykształconego zresztą, człowieka. Zawężenia do tylko jednego pragnienia – napić się!

Rodzaj alkoholu na pewnym etapie nie miał już znaczenia. Mogło to być piwo, wino, wódka, koniak, wisky, „babski” likier wykradzony żonie z kredensu..., nawet spirytus salicylowy lub denaturat.

„– Gdy skończyły się oszczędności, a żona wystawiła moje walizki za drzwi” – mówił Karol – „pewnego wieczoru, w pijackim delirium wpadłem do nocnego sklepu z alkoholem i z nożem w ręku zaatakowałem sprzedawczynię. Mózg mi się tak zlasował, że nie pomyślałem o monitoringu, bo całe zdarzenie dokładnie się nagrało, a poza tym, zanim wziąłem chociaż łyk upragnionego trunku, wpadła ochrona zaalarmowana przez drugą sprzedawczynię, która robiła rozliczenia na zapleczu sklepu. Za rozbój, zranienie sprzedawczynie, czego nawet nie pamiętam – prokurator mówił, że dźgałem ją tym nożem gdzie popadło – za kradzież gotówki z kasy, chociaż niewiele tego na oko było, bo ludzie teraz płacą kartą – possessedę tu jeszcze, oj possessedę...

Moja chciwość przyniosła zgniłe owoce. Dobrze, że dzięki Bogu, nie zabiłem tej kobiety, przeżyła. I niech pan sobie wyobrazi, że napisała do mnie list! Tu, do więzienia. Że mi przebaczyła mój niecny czyn i że modli się za mnie!

Na końcu był jeszcze dopisek: Jezus Cię kocha takim jakim jesteś. Myśle, czy to jest możliwe????”.

Izabella twierdziła, że siedzi za niewinność, bo wredna baba weszła niespodziewanie na pasy i ona nie miała żadnych szans, żeby skutecznie zahamować! Na moją uwagę, że nie mówi całej prawdy, którą znałem z akt procesowych, najpierw spojrzała na mnie spode łba, a następnie zaczęła rozpaczliwie szlochać. Po dobrej chwili odezwała się bardzo smutnym tonem:

„– No tak, rzeczywiście. Nie powiedziałam wszystkiego, ale ja tak zagłuszam sumienie. Przecież wiem, że pieszy wchodzący na pasy ma pierwszeństwo. Ale ja wtedy byłam otumaniona, na prochach, które popijałam wódką. Koleżanka z Instytutu Biologii, w którym pracowałam, dała mi parę tabletek mówiąc, że jej pomagają, gdy czuje się znużona, senna, przepracowana. A ja tak właśnie się czułam od wielu miesięcy! Ja jestem pracoholikiem, tak stwierdził psychiatra, bo badali mnie różni specjaliści, biegli sądowi! Ale jestem pracoholikiem nie dlatego, żeby rozwijać polską naukę, bo wciąż jestem tylko doktorem na stanowisku adiunkta, lecz z powodu nieuporządkowanej miłości do dóbr doczesnych. To też

słowa doktora psychiatrii, które w moim przypadku tłumaczy się na chorobliwe powiększanie swojego majątku. Pracowałam do upadłego, brałam wszystkie zlecenia, które wpływały do Instytutu. Godzinami ślęczałam w laboratorium, robiłam ekspertyzy, za które różne firmy bardzo dobrze płaciły, zwłaszcza za te z obszaru Unii Europejskiej. Certyfikaty naszego cenionego Instytutu były dla ich biznesów furtką na rynki globalne. Moje finanse rosły, byłam w euforii, oglądając wyciągi z kont, dużo też inwestowałam.

Żyłam w luksusowych warunkach, jeździłam najnowszymi modelami ekskluzywnych aut. Było to dla mnie powodem do dumy i „kartą przetargową” w stosunku do innych. I wciąż pragnęłam mieć więcej i więcej. Mąż też dobrze zarabiał jako dyrektor dużej firmy transportowej, ale nie podzielał moich ambicji finansowych. Wręcz przeciwnie, nie przesadzał z godzinami pracy, miał czas na tenisa, wycieczki za miasto, na teatr, do którego kiedyś chodziliśmy razem... Przestrzegał mnie wielokrotnie przed chciwością, którą zdiagnozował u mnie z bólem serca. Mówił mi ze smutkiem, że chciwiec myśli: zasługuję na więcej nawet

kosztem innych, dając mi do zrozumienia, że to on jest już od dłuższego czasu ofiarą mojej żądzy bogacenia się za wszelką cenę. Odszedł z domu jakieś dwa lata temu, nie odzywa się, nie odwiedza mnie tutaj... Boleję nad tym, ale wiem, że wina leży po mojej stronie. Po tym strasznym wypadku dopiero przejrzałam na oczy!

Jak ja mogłam tak dać się prowadzić demonowi pieniądza? Żyłam tak, żeby „mieć”, a nie „być” – dobrą żoną, naukowcem z prawdziwego zdarzenia, robić habilitację, starać się o tytuł naukowy profesora... Wszystko przepadło! I co mi teraz z tego przyszło, co ja mam z tych moich „skarbów”? Boję się o swoją przyszłość, chociaż dopiero na starość odzyskam wolność. Muszę zwalczyć w sobie to, co powiedziałam na początku – że to nie moja wina. To wszystko – to moja wina! Chociaż nie widziałam u siebie tej strasznej chciwości, to teraz w jej imię domagałam się sprawiedliwości! To ohydne i perfidne myślenie! Iza! – mówię teraz sobie – Jesteś winna śmierci tej kobiety! I musisz to odpokutować!”.

Poldek – określił siebie jako „niebieskiego ptaka”. Nigdy nie pracował dłużej niż trzy-cztery miesiące.

Pożyczał pieniądze, gdzie się dało i nie spłacał długów. Jakoś mu nie wychodziło... Czuł pociąg do pieniędzy, ale nie do pracy. Kasę jednak miał i powodziło mu się nieźle. Zdobywał ją przez rozliczne oszustwa typu „na wnuczka”, na „majstra”, na „policjanta”. Ale, jak mówił, to była „drobnica”. Chciwość zaprowadziła go do kasyna. Hazard nim zawładnął na dobre.

Początkowo szczęście mu sprzyjało, kupił nawet od kolegi specjalną aplikację na smartfona, która miała gwarantować wysokie wygrane, podpowiadając (statystycznie), na co stawiać w ruletce. Ale, jak to bywa – elektroniczny sufler często zawodził. Żądny pieniędzy zaczął kraść co popadnie, szczególnie interesowały go klejnoty, biżuteria. Wchodził do domów udając hydraulika, elektryka, kominiarza lub innych fachowców, w towarzystwie „czeladnika”, który zagadywał właścicieli, a on w tym czasie zaglądał do szaf pod bieliznę, gdzie od wieków chowano pieniądze, do szuflad, za piece, za obrazy i często mu się trafiały „łupy”!

„– Niestety wszystko przepadło, wpadłem w pułapkę zastawioną przez policję w jednym z mieszkań. Tu, w więzieniu z rozpaczcy często płaczę, leczę się na depresję.

Boję się o swoją przyszłość. Czy potrafię jeszcze żyć uczciwie? Dokąd mnie zawiodła ta chciwość!?”.

Szanowni Państwo! Bardzo dziękuję za uwagę i proszę o wypowiedzi, pytania, bo na prawdziwej obronie tak właśnie się dzieje. Muszę też odpowiedzieć na pytania i uwagi recenzentów.

Pytań z sali było sporo, wszystkie uwagi były pozytywne. Wszedłem z tego spotkania podbudowany, myśląc, że nadzieja na uzyskanie doktoratu, a później habilitacji nie jest bezpodstawna.

Żeby jeszcze tylko przeżyć prawdziwą obronę!...

Dom tragiczny, czyli cuchnący biznes

– Sześć, dziewięć, dwadzieścia cztery, dwadzieścia osiem, trzydzieści dwa... – liczył głośno Szymek, a ja siedziałem jak urzeczony i wpatrywałem się w kręcącą się maszynę do losowania, która stanowczo za wolno, jak na moje oczekiwania, „wypluwała” do szklanej miski kolejne kule!

To moje numery – przemknęło mi przez głowę, znam je na pamięć. Obstawiam je od dobrych paru lat! Ale pewnie Szymek źle odczytał, ma przecież dopiero sześć lat – pojawiła się nagle wątpliwość. Może to jest sześć a nie dziewięć?

Ale gdy na całym ekranie pojawiła się plansza z wylosowanymi numerami – uwierzyłem. Mamy główną wygraną! Ile to kasy? No nie wiem dokładnie, ale to zwykle bywało... kilka milionów. O Boże! Serce zaczęło mi walić jak młotem, cały dygotałem, aż nawet ten cenny kupon wypadł mi z ręki na dywan. Podniosłem go natychmiast, jak relikwię i schowałem w szufladzie komody. Szymek, nieświadomy sumy wygranej, bawił się beztrosko klockami.

– Dziadek! A jak coś wygłasz, to kupisz mi lody i lulki z klemem? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Tak Szymek! Oczywiście, pójdziemy na lody i rurki – odpowiedziałem ochrypłym głosem, słysząc, że wraca Anka.

– Babcia, babcia! – zawołał radośnie Szymek. – Co mi przyniosłaś? – I za chwilę uradowany chrupał ulubione „kamyczki”.

Jak niewiele mu potrzeba do szczęścia – pomyślałem z rozrzewnieniem. A będzie przecież dziedzicem ogromnej fortuny. Bo na pewno ta suma się rozrośnie, zainwestujemy – ale jak, w co? To dopiero będzie kłopot – uzmysłowiłem sobie z lękiem. No tak, już się zaczyna! Mój tato często mówił, że jak się coś posiada, to nie można żyć beztrosko.

– Sławek! Co tu tak siedzisz? Chodź do kuchni i rozpakuj zakupy, bo ja się spieszę z obiadem. O szesnastej muszę być już u Wiśniewskich – dzisiaj zaplanowałam mycie okien na werandzie i na parterze. A mają tam pięć pokoi. Wrócę pewnie po dwudziestej. Odprowadzisz Szymka do Róży koło osiemnastej, zapamiętasz? Szymek, kiedy tato wraca z delegacji?

– W piątek, babciu. A co dziś jest na obiad?

– Zupa pomidorowa i naleśniki z serem i dżemem. No chodźcie już oboje!

– Anka – odezwałem się z trudem – daj Szymkowi obiad i chodź tutaj, musimy porozmawiać!

– Stało się coś, że nie możesz najpierw zjeść? Mam ci potem odgrzewać? – w głosie Anki słychać było pewne zaniepokojenie.

– Chodź tu zaraz i usiądź, to bardzo ważne!

– Sławek, spóźnię się do Wiśniewskich

– Anka! Nie pójdziesz dziś, ani nigdy harować do Wiśniewskich! Nie musisz już dorabiać! Jesteśmy milionerami! Słyszysz? Ja mówię poważnie! Anka! Wygraliśmy! Wszystkie numery się sprawdziły. Wszystkie! Słyszysz?

Anka zaniemówiła! To robiła się blada jak ściana, to znów czerwona na twarzy! Przestraszyłem się, pobiegłem po szklankę wody. Po dobrej chwili przyszła do siebie i zapytała nerwowo:

– To co teraz będzie? Całe nasze życie wywróci się do góry nogami? I gdzie my schowamy tyle kasy, na co wydamy?

– Ze schowaniem nie będzie kłopotu. Oczywiście zdeponujemy ją w banku. A na co wydamy? To trzeba będzie bardzo dobrze przemyśleć. Zaprosimy dzieci na obiad i porozmawiamy. Myślę, że na pewno zmienimy mieszkanie. Mam już dosyć wchodzenia na to czwarte piętro! A przecież będziemy coraz starsi i coraz słabsi...

Obiad zaplanowaliśmy na kolejną niedzielę. Marek, Łukasz i Amelka byli bardzo zdziwieni niespodziewanym zaproszeniem, bo to przecież ani święta, ani imieniny, ani żadna rocznica. Amelka próbowała się nawet wykręcić od tego rodzinnego zjazdu, ale powiedziałem jej, że to arcyważna sprawa, z pewnością nie na telefon. Po tych słowach z kolei bardzo się przestraszyła, ale zapewniłem, że to nic złego.

Chyba nie uwierzyła, bo przyszła bardzo spięta, a Piotr – jej mąż – robił nam wyrzuty, że przez te nasze tajemnice nie mogą spać po nocach. Kinga natomiast weszła z tak ponurą miną, że aż ciarki mnie przeszły po kościach.

– Nie jest dla mnie atrakcją spędzać niedzielę u dziadków – burczała. – Miałam inne plany! A tu słyszę, że ma być jakaś głupia narada i ja, jako najstarsza, mam

pilnować Szymka, Andrzejka, Jaśka i Maję. Co to ja jestem, jakaś niańka? I tak za nic?

– Oj Kinga, nie marudź! Myślę, że dzieciaki będą grzeczne, bo się będą ciebie bały. Wyglądasz tak ponuro i groźnie w tych ciemnych ciuchach i z sińcami pod oczami... Jak jakaś wiedźma lub zła wróżka. A ten pępek mogłabyś przykryć, co? Kusisz chłopaków? Oj, żebyś nie żałowała! – Anka tak szczerze wyraziła swoją opinię o wyglądzie naszej wnuczki, że aż się przestraszyłem, ale Kinga skwitowała to tylko wzruszeniem ramion.

Nasze bliźniaki – Marek i Łukasz przyjechali z rodzinami trochę spóźnieni, na wszelki wypadek z bukietem róż i z wielką bombonierką, bo to chyba jednak jakaś uroczystość.

Po obiedzie, gdy Kinga z dzieciarnią obdarowaną czekoladkami poszła do drugiego pokoju, powiedziałem, co jest powodem naszego spotkania. Najpierw zaległa głęboka cisza, a potem okrzyki radości mieszały się z konkretnymi pytaniami, które na razie pozostawały bez odpowiedzi.

– Ile tej kasy?

– Co z nią zrobimy?

– Czy podzielicie ją po równo? Czy inaczej?

Pozwoliłem im wykrzyczeć swoje emocje i propozycje wydania pieniędzy bez sensu, po czym poprosiłem o ciszę i stanowczym głosem oznajmiłem, że chcielibyśmy z mamą kupić sobie jakiś mały, parterowy domek z ogródkiem.

– Byłoby dobrze, gdyby w pobliżu zamieszkał ktoś z was, bo nieuchronnie nadejdzie starość...

– Może w takim razie kupimy tzw. bliźniak i będziemy razem, a jednak osobno – odezwała się Amelka, a Piotr tylko pokiwał głową. – Bracia mają już domy, Łukasz nawet bardzo duży, bo Zyta dostała go w spadku po dziadku, prawda? Czy ktoś ma coś przeciwko temu? – Amelka rozejrzała się po pokoju.

– To dobre rozwiązanie – przyznał Piotr. – Nie słyszę protestów, więc trzeba by się rozejrzeć za czymś odpowiednim. I tak jeszcze pomyślałem, żeby również, możliwie blisko, zbudować lub wynająć niewielki chociaż pensjonat. Tylu ludzi przyjeżdża tu do naszego miasta w celach biznesowych, turystycznych, leczniczych..., więc miejsca noclegowe na pewno się przydadzą. Można na tym sporo zarobić.

– Super pomysł, taki rozwojowy – Łukasz z entuzjazmem poparł projekt pensjonatu. – A skoro już jestem przy głosie, to zawsze marzyłem, żeby otworzyć w lewym skrzydle naszego domu, mały sklepik i jego odpowiednik – w sieci.

– A co chciałbyś sprzedawać? – udało się zapytać Ance.

– Prasę, książki... Kinga mówi, że najlepiej sprzedają się kryminały i romanse. Poza tym – niewielkie obrazy, np. portrety na zamówienie, upominki itp. To samo oferowałbym w e-sklepie. Jestem przecież informatykiem i zaprojektowanie takiego sklepu to dla mnie pikuś!

– No to został nam Marek – podsumowałem dotychczasową rozmowę. – Widzę, że dobrze nam idzie w rozdysponowaniu kasy, która za kilka dni wpłynie na moje konto. No co, Marku, masz jakiś pomysł?

– Jak wicie, prowadzę zakład fotograficzny. Pomyślałbym o jego rozwoju i unowocześnieniu, a poza tym, jako że też mam zacięcie informatyczne, założyłbym studio multimedialne, oparte na sztucznej inteligencji i wirtualnej rzeczywistości. Ludzie coraz częściej zamawiają jakieś scenografie multimedialne, np.

święteczne iluminacje, weselne dekoracje, prezentacje do obejrzenia np. na jubileuszu 50-lecia małżeństwa itp. Chcą się też pobawić w wirtualnym świecie animowanym przez sztuczną inteligencję.

– No dobrze! Próbujcie, kochani, przymierzyć się do tych pomysłów. Pamiętajcie też o swoich dzieciach, trzeba coś dla nich odłożyć. Za parę dni będzie wiadomo, ile dokładnie wyniesie wygrana. Wtedy pošlę wam stosowną kwotę i poproszę Różę, żeby pilotowała zrobienie orientacyjnego kosztorysu waszych pomysłów. Ja skontaktuję ją z jakimś dobrym biurem nieruchomości i zaczniemy z mamą szukać domów na sprzedaż. Będziemy w kontakcie i zobaczymy za jakiś czas, jak sprawy wyglądają.

Suma jaka wpłynęła na moje konto, mogła spowodować zawrót głowy! Nawet w najśmielszych marzeniach nie myślałem, że to się kiedyś stanie!

Amelka zgodziła się, że jej kasa będzie na początku w naszej dyspozycji, bo Piotr wyjechał służbowo na parę miesięcy, a ona nie ma do tego głowy. A gdy przekazałem część funduszy Markowi i Łukaszowi, byli w szoku i podziękowaniom nie było końca. Mówiłem, że mają

dziękować przede wszystkim Panu Bogu, bo to „Jego sprawka”, gdyż po ludzku, to jest niewyobrażalne, że akurat taka kumulacja trafiła na mnie.

Jako wotum wdzięczności, przekazałem więc okrągłą sumkę księdzu proboszczowi, który aż zaniemówił z wrażenia. Prosiłem go o anonimowość, bo po pierwsze „niech nie wie twoja prawa ręka co czyni lewa”, a po drugie – ludzie są różni i boimy się reakcji np. zazdrosnych sąsiadów czy też zwykłych oprychów...

Mijały tygodnie, a nieruchomości, które oferowało nam biuro, wciąż nie odpowiadały naszym oczekiwaniom. W końcu któregoś ranka odezwał się agent i wykrzyknął, że ma coś dla nas! I rzeczywiście – nowy, przestronny, słoneczny bliźniak z piętrem i poddaszem w bardzo dobrym stanie, praktycznie do zamieszkania od zaraz, bardzo się nam spodobał!

Anka i Amelka zachwyciły się ogrodem i piękną lokalizacją. I co ważne, oferta zawierała też możliwość kupna dużej willi, odległej od bliźniaka na przysłowiowy rzut beretem. Było też miejsce na urządzenie parkingu na kilkanaście samochodów, niezbędnego przecież przy pensjonacie. Wnętrze willi wymagało pewnego

przebudowania i przystosowania do funkcji, jaką miała pełnić, ale agent zachęcał nas do kupna, bo cena nie była wygórowana, a właścicielowi zależało na szybkiej sprzedaży, gdyż wyjeżdżał na stałe do Kanady. Po wizycie u notariusza i po dokonaniu stosownych operacji finansowych mogliśmy się przeprowadzić i rozpocząć remont pensjonatu.

Za parę miesięcy przyjęliśmy pierwszych gości! Byli to zwłaszcza pacjenci pobliskiej kliniki ortopedycznej i ich rodziny. Amelka przejęła zarządzanie pensjonatem, zatrudniła obsługę, a w wolnym czasie razem z Anką szalały w ogrodzie.

Trochę doskwierał nam brak sąsiadów, bo w bloku stale ktoś się kręcił, porozmawiał..., a tu – do najbliższych domów było ładnych parę minut marszem. Kinga jeździła do szkoły na rowerze albo na elektrycznej hulajnodze. Ale cóż, za ciszę i spokój trzeba „płacić”.

Pierwszą wigilię zorganizowaliśmy w naszym salonie. Śpiewaliśmy kolędy, cieszyliśmy się sobą, bo nasza biznesowa rodzina rzadko kiedy spotykała się razem. Marek i Łukasz mieli jednak niezbyt tęgie miny, bo chyba spodziewali się większych zysków.

Wyciągnąłem z Łukasza, że ze sklepu owszem, da się przeżyć, ale pewnie już niedługo, bo zaczyna zżerać go konkurencja. Musi obniżyć ceny, obok powstał market znanej w całej Europie korporacji i przejął większość klientów. Sklep w internecie też cienko przędzie. Nie za bardzo znam się na tym, ale jako klient, czyli będący z drugiej strony – poradziłem mu, żeby pomyślał o poszerzeniu oferty, albo o całkowitym przebranżowieniu sklepu, zwłaszcza tego stacjonarnego.

– Objedź okolicę, zobacz, czego brakuje mieszkańcom, może zrób sondaż diagnostyczny, sprawdź inne osiedla – powiedziałem Łukaszowi.

Marek też biadał, że się przeliczył w oczekiwaniach na zamówienia od firm, a zwłaszcza od indywidualnych klientów, którzy od studia multimedialnego oczekiwali innych propozycji. Na moje pytanie: „jakich?“, trochę spłoszony odwrócił wzrok i odpowiedział, że „rozrywkowych”.

Zmartwiłem się, ale cóż – niech chłopaki kombinują, są młodzi, niech rozeznają rynki zbytu! Życzyłem im tego na nowy rok!

Amelka, zadowolona, że Piotr wrócił na święta z długiej delegacji, niewiele mówiła o swoim biznesie.

– Teraz pensjonat opustoszał, ale po Nowym Roku na pewno sytuacja się poprawi – zapewniała, wpatrzona w męża.

Ale Piotr na kilka dni przed kolejnym wyjazdem wpadł do nas i zmartwiony powiedział, że niespełna kilometr za pensjonatem, znany developer ogroził duży teren. Dowiedział się, że będzie tam budowany 7-piętrowy hotel i ośrodek rehabilitacyjny z basenem, salą ćwiczeń, centrum odnowy biologicznej itp.

– Z pewnością przejmie naszych klientów, którzy chodzili na zabiegi do kliniki ortopedii. No zostaną może tylko ci jednodniowi, którzy przyjeżdżają na konsultacje ortopedyczne przed i po operacji. Ale i tak pewnie splajtujemy. Nie wiem, czy mówić o tym Amelce, bo to będzie aktualne najwcześniej za dziesięć, może dwanaście miesięcy, ale przecież trzeba się zastanowić nad jakąś alternatywą dla naszego pensjonatu, prawda tato?

– A czy ta informacja jest pewna? Amelka się załamie... Tak się zaangażowała w tę pracę.

– Wiadomość, że tam rusza jakaś budowa, przyniosła Kinga, bo jeździ tamtędy do szkoły, na skróty. Na szczęście nie powiedziała o tym mamie, bo pytałem. Ale wczoraj podjechałem tam, wracając z centrum i właśnie stawiali taką dużą żółtą tablicę informacyjną, i to z niej wyczytałem, co się święci.

– To Amelka dowie się i tak o tym, prędzej czy później. Trudno! Tak to już jest w biznesie – raz z górki, raz pod górkę. Wiem, że Łukasz i Marek też mają problemy. Spotkajcie się i ustalcie jakąś strategię działania.

Nie byłem na tej naradzie, nie znam się na meandrach biznesu.

Następnego dnia zadzwonił Łukasz i powiedział, żebym się nie martwił, bo wszyscy postanowili skorzystać z mojej rady i się przebranżowić! W jakim kierunku – nie chciał powiedzieć, żeby, jak westchnął, nie zapeszyć. Dowiedziałem się tylko, że w internecie znaleźli słowo-kłucz do pewnego sukcesu!

– Idziemy tym tropem! – rzekł.

– Wszyscy będziecie robić to samo?

– Tak, ale nie ciągnij mnie za język, dobrze? Za jakiś czas zdamy sprawę, jak nam idzie. Siedźcie sobie w

ogródka, cieszcie się przyrodą. Spokojnie wyżyjecie z procentów, jakby co! Obyśmy tylko zdrowi byli.

Nie bardzo mnie to uspokoiło, ale postanowiłem sobie mocno, że dam młodym czas i wolną rękę. Choć to właściwie były moje pieniądze, ale... Na szczęście Anka była ponad tymi problemami. Umiała cieszyć się chwilą, świeżo rozkwitłą różą, pęczkiem pięknej rzodkiewki, biało-czarną kotką, która przyplątała się jeszcze zimą i już została na dobre. Nelka faktycznie jest śliczna i bardzo miła. Staralem się brać z żony przykład, ale niepokój co jakiś czas powracał. Ach, gdybym mógł cofnąć czas...

Zbliżał się koniec czerwca, Kinga cieszyła się na wakacje, pierwsze za granicą, bo miała pojechać z Amelką na dwa tygodnie do Włoch, do Piotra, który znów przebywał tam służbowo. Gdy podpytywałem Amelkę, jak idzie interes, bo widziałem, że codziennie parking jest pełen ekskluzywnych samochodów, odpowiadała tajemniczo, że fantastycznie, że zyski rosną, że zatrudniła dodatkowy personel... Taką samą odpowiedź otrzymałem od Łukasza i od Marka, jakby się umówili...

Dzień przed wyjazdem do Włoch, Kinga pojechała na rowerze do Klaudii – koleżanki po jakąś paczkę, którą miała przekazać jej ciotce w Mediolanie. Długo nie wracała, zrobiło się już ciemno, komórki nie odbierała. Amelka zaszła do nas, najpierw narzekała, jaka ta młodzież teraz jest, nie pomyśli, że ktoś się martwi, że przecież miała się jeszcze spakować, że rano wyjeżdżają, ale gdy minęła kolejna godzina, coraz bardziej się denerwowała. W końcu o pierwszej w nocy zadzwoniła na policję. Dyżurny wypytał do kogo i w którą stronę się udała, jak była ubrana, jakim rowerem pojechała, i obiecał, że wyśle tam patrol.

Noce w czerwcu są krótkie, wkrótce zrobiło się jasno. Patrol odnalazł paczkę i rower Kingi całkiem niedaleko pensjonatu, a w zaroślach dwieście metrów dalej – dwie dziewczyny – Kingę i Klaudię. Kinga nie wykazywała oznak życia, Klaudia słabo oddychała. Obie były w poszarpanych ubraniach, podrapane, ze śladami krwi. Wszystko wskazywało na to, że zostały zgwałcone!

Sekcja zwłok Kingi i badanie Klaudii, którą udało się odratować, potwierdziły to przypuszczenie. Policja bardzo szybko pojmała sprawców. Byli to dwaj mężczyźni w

wieku około trzydziestu lat, którzy wynajmowali pokoje w naszym pensjonacie. Nie przyjechali do kliniki ortopedii, ani po to, żeby zwiedzać okolice, ale, jak to ujął policjant, żeby zaznać tu uciech cielesnych.

– Co takiego? W naszym pensjonacie? To niemożliwe!
– wykrzyknąłem z przerażeniem. – Co pan opowiada za bzdury?!

– Panie Sławku! Rozumiem pana ból po stracie wnuczki i pana wzburzenie, ale czy pan rzeczywiście nie wiedział, co się dzieje w pensjonacie? Przecież pani Amelia już parę miesięcy temu się przebranżowiła i oficjalnie zarejestrowała tu agencję towarzyską! A koleżanka Kingi, Klaudia została wczoraj przesłuchana w obecności lekarza i psychologa. I powiedziała, że pamięta słowa jednego z napastników: „– Maks, co będziemy znów płacić w tym pensjonacie grube pieniądze za panienki, jak tu idą takie super laski. Zobacz, jakie mają brzuszki i cycki. Lubię to robić z takimi młodymi, a ty?”. „– Niestety nie zdążyliśmy się schować, ani uciec, bo zagrodzili nam drogę, a obok jest ten uskok z potokiem. Boże, po co ja wtedy odprowadzałam Kingę? Gdyby jechała sama na rowerze, pewnie by się nie natknęła na

tych zbirów”. W tym momencie zareagował lekarz i przesłuchanie przerwano.

Na pogrzebie Kingi ksiądz z trudem powiedział parę słów o zgodzie na Bożą wolę. Amelka zasłała już na początku Mszy pogrzebowej i pogotowie zabrało ją na sygnale do szpitala. Piotr pojechał za nią. Anka też ledwo trzymała się na nogach i co chwilę wybuchała płaczem. Gdy ksiądz podszedł do nas, żeby złożyć kondolencje, szepnąłem tylko, że jeżeli może, niech zajdzie do nas wieczorem.

Przyszedł o dziewiętnastej, zaraz po Mszy wieczornej. Dwie godziny wcześniej Piotr przywiózł Amelkę z SOR-u. Zapytałem ich, czy chcą być przy rozmowie z księdzem. Po namyśle odpowiedzieli twierdząco. Byli też Marek i Łukasz z Różą i Zytą. Dzieci zostawili już rano u przyjaciół. Marysia, kuzynka Anki przyniosła nam swoje wyśmienite przetwory i wypieki.

– Musicie przecież coś jeść. Już tyle dni żyjecie w napięciu! – mówiła z troską.

Kochana Marysia! Przynajmniej mieliśmy czym zająć ręce, próbując przełknąć co nieco w milczeniu. Ksiądz Kazimierz poprosił tylko o filiżankę herbaty i zapytał,

czego od niego oczekujemy. Pociechy, prawdy – co myśli o tej sytuacji, spowiedzi, rady – co dalej?

– Chyba tego wszystkiego razem – jęknęła Amelka. – To ja jestem winna śmierci Kingi! I do końca życia nie uwolnię się od tej winy. Nigdy sobie nie przebaczę. I Bóg też mi nie przebaczy tego, że przez taki sprośny biznes zabiłam własne dziecko!

– Pani Amelio! Bóg przebacza, jeśli człowiek zwróci się do Niego i żałuje. On jest miłosierny. Postąpiła pani rzeczywiście bardzo źle. Nieczystość to straszny grzech. Nie wiem, czy państwo są w stanie teraz czegoś słuchać na ten temat? Może za jakiś czas wrócimy...

– Proszę mówić teraz – przerwał księdzu Kazimierzowi. – Proszę mówić, bo nie ma się tu co oszukiwać. Wszyscy mamy poczucie winy za to, co się stało.

– Nieczystość to grzech chyba dość trudny do zdefiniowania – zaczął ksiądz Kazimierz. – O nieczystości możemy mówić wtedy, gdy zmysły zaczynają odgrywać decydującą rolę w naszym życiu, gdy umysł przestaje panować i decydować o tym, co dobre, a co złe. Wśród wielu cech naszej cielesności jest również nasza płciowość

i popęd seksualny. Problem w tym, jak go wykorzystujemy. Nasze ręce, nogi czy rozum może służyć zarówno dobrem, jak i złym sprawom. Podobnie nasza seksualność. Ale to my decydujemy – od nas zależy. Czasem Bóg wystawia nas na próbę, ale to my wybieramy. Nieczystość zatem jest grzechem, który narusza ów związek pomiędzy mężczyzną i kobietą, niszczy ich wzajemną miłość, a także samą rodzinę. Szczególne zło grzechu nieczystości ujawnia się w tym, że wyrządza on wielkie szkody dla poszczególnych osób i dla całego społeczeństwa, wzmacnia ludzki egoizm: człowiek nastawiony jest tylko na własną korzyść i własną przyjemność, traktując drugiego jak przedmiot. Dalej, jego następstwami są zaciemnienie umysłu, nieczułość na rzeczywistości duchowe, swego rodzaju „zezwierzęcenie” człowieka, pochopność w podejmowaniu decyzji, działanie tylko i wyłącznie z motywów hedonistycznych.

U osób zdominowanych przez grzechy nieczystości ma miejsce zamknięcie się na rady innych. Możemy zauważyć również u nich zanik bojaźni Bożej. Udział w grzechach, o których mówi szóste przykazanie, mają również ci, co organizują, przygotowują całą „bazę”

sprzyjającą popełnianiu grzechów nieczystych (rozpowszechnianie pornografii, prostytutcja, działalność sex shopów).

– Proszę księdza – odezwał się nagle Łukasz – Ja muszę teraz coś powiedzieć!

Spojrzałem na niego karcąco, ale on spuścił głowę i zaczął wyrzucać z siebie słowa, od których zrobiło mi się słabo:

– Ja przebranzowiłem swój normalny sklepik na sex shop właśnie. I ten przy domu, i ten internetowy. Interes kręcił się wspaniale, w okolicy nikt nie oferował seksownej bielizny, różnych narzędzi, przedmiotów pomocnych do perwersyjnego seksu, których nie będę tu wymieniał. Klienci i klientki walili drzwiami i oknami. Przez miesiąc zarobiłem tyle, że spłaciłem długi i odłożyłem okrągłą sumkę. Wieczorami szukałem w internecie nowości w tym zakresie i natychmiast je sprowadzałem. I ze wstydem wyznaję, że sprawdzałem je w naszej sypialni i nie tylko. Zyta, wybaczysz mi?

Zapadła głęboka cisza. Zyta szlochała, Łukasz też miał łzy w oczach. gdy odezwał się Marek, Anka nie wytrzymała i wybiegła z pokoju.

– A ja umożliwiałem chętnym – uciechy cielesne na odległość. W swoim studiu multimedialnym organizowałem orgie seksualne, intymne spotkania sam na sam z wirtualną panią lub panem, innych szczegółów tu nie omówię, bo mi strasznie wstyd. Kusilem klientów anonimowością kontaktów, bezpiecznym seksem, bez zagrożenia poczęciem się dziecka, możliwością wypróbowania różnych technik i...

– Przestań już, proszę, bo robi się z tego reklama – krzyknął Łukasz

Marek, czerwony jak burak, wyszedł pod pretekstem skorzystania z toalety. Gdy wrócił i wróciła też Anka, ksiądz kontynuował:

– „Czyż nie wiecie, że ciało wasze jest przybytkiem Ducha Świętego, który w was jest, a którego macie od Boga, i że nie należycie do samych siebie?” – tak mówi święty Paweł do Koryntian. Człowiek jest powołany przez Boga do życia z miłości i w miłości. Ta możliwa jest tylko między osobami. Jest relacją między Bogiem a człowiekiem oraz między ludźmi, szczególnie mocno widać to w sakramencie małżeństwa. Grzech nieczystości jest dlatego tak bardzo niebezpieczny, że godzi w istotę

miłości. W Kościele pierwotnym wymieniano trzy najpoważniejsze grzechy, za które nakładano też bardzo surowe pokuty: wyparcie się wiary, zabójstwo i cudzołóstwo. Ten ostatni nie wyczerpuje katalogu grzechów nieczystych, ale zestawienie go ze wspomnianymi dwoma innymi ukazuje jego wyjątkowy ciężar gatunkowy.

Punktem wyjściowym dla problematyki grzechów nieczystych jest przede wszystkim przykazanie Dekalogu: „Nie cudzołóż!”, a także słowa Jezusa: „Każdy, kto pożądliwie patrzy na kobietę, już się w swoim sercu dopuścił z nią cudzołóstwa”. Jezus, pomimo nieskończonego miłosierdzia, jakie okazuje każdemu grzesznikowi (np. kobiecie cudzołożnej), widzi z całą ostrością, i to w wymiarze życia wiecznego, śmiertelne skutki grzechu nieczystości. Jezus, właśnie dlatego, że kocha grzesznika i pragnie jego zbawienia, nienawidzi każdego grzechu, który przeszkadza w skorzystaniu z łaski odkupienia. Stąd Jego radykalizm i wskazywanie na miejsca zagrożenia: „Z wnętrza bowiem, z serca ludzkiego pochodzą złe myśli, nierząd, [...], cudzołóstwa, [...], wyuzdanie, [...]”. Całe to zło z wnętrza pochodzi i czyni

człowieka nieczystym”. To w myślach zaczyna się fantazjowanie erotyczne, wzmagane filmem, pornografią, wyobraźnią innych osób i dotykiem. Dochodzą do tego sprośne słowa, głupie, nieprzyzwoite dowcipy, dwuznaczne namowy. Przychodzą wreszcie gesty nieskromne i różne czyny lubieżne – z samym sobą, z drugim człowiekiem (bywa, że i w grupach), a nawet ze zwierzęciem. To cytaty z Pisma Świętego, kochani. Warto do niego zaglądać. Pamiętajcie, że grzechy nieczyste są wyborem własnej pożądliwości, której istotą jest zawłaszczanie tego, co się nie należy. To swoista kradzież w sferze przynależnej miłości. Samogwałt, zdrada, cudzołóstwo, prostytutka, molestowanie seksualne, gwałt, grzechy sodomskie, czyli wszelkiego rodzaju perwersje i dewiacje są za każdym razem ciężkim wystąpieniem przeciwko czystości. A zachęcanie innych do tego, to też grzech, tzw. cudzy. Święty Paweł powiedział: „Wszystko wolno, ale nie wszystko przynosi korzyść”. Chrześcijanie są wezwani, by nieustannie pielęgnować swoje serca, niczym ogród. Potrzeba tu zatem modlitwy, skutecznej „pracy porządkowej” (spowiedź) i posłuszeństwa

Boskiemu Gospodarzowi (wierność dobrym postanowieniom).

Gdy ksiądz Kazimierz zamilkł, zapytałem cicho:

– Mam nadzieję, że zaprzestaniecie tego procederu? Wszyscy! A powiedzcie w końcu, jakie to słowo-klucz otworzyło te wasze okropne biznesy. Jak to było?

– Tato! – odezwał się Marek. – Szukaliśmy pomysłu na ulepszenie naszych interesów i wpadłem na to, żeby zapytać Google, jakie słowo jest najczęściej wpisywane w wyszukiwarce. I wyszło że „seks”. Więc poszliśmy tą drogą! Drogą, która prowadzi donikąd! W właściwie do wiecznego potępienia!

– To wszystko przez ten internet! – zawołała Anka.

– Nie, pani Aniu! Internet sam w sobie nie jest ani dobry, ani zły. Problem w tym, żeby go właściwie użytkować! – podsumował ksiądz Kazimierz. – Postarajcie się jakoś zadośćuczynić za te przewinienia. Zostańcie z Bogiem, będę się za was modlić!

P.S. Pierwszy krok ku dobremu zrobiła Amelka. Rozwiązała umowę z paniami o najstarszym zawodzie świata ze skutkiem natychmiastowym. Za parę tygodni na pensjonacie zawieszono tablicę: „Poradnia dla osób

uzależnionych. Spotkania informacyjne, terapeutyczne, konsultacje z psychologiem, psychiatrą, seksuologiem”.

Dom dwóch „Z”, czyli nowotwór serca

– Czy to 112? Proszę pana, ukradli mi dziecko! Małe, w wózku. Zostawiłam je na moment przed kwiaciarnią, wychodzę, a tu wózka nie ma. Szukajcie mojego Kacpra! Błagam was! Szukajcie! Co? Gdzie jestem? Przy kwiaciarni na Kochanowskiego. Jaki wózek? No głęboki, czarny z popielatą wstawką z boku. Co pan tak pyta? Szukajcie! Bo jak coś się stanie Kacprowi, to mąż mnie zamorduje, albo sama skoczę z mostu do rzeki. Tyle razy mi powtarzał: „– Nigdzie nie zostawiaj wózka!”. Ale niech nie będzie taki mądry, bo wczoraj miał kupić kwiaty na imieniny teściowej i tego nie zrobił! I to przez niego dzisiaj... A to pan policjant już przyjechał! To szukajcie!

Dopiero na widok policjanta dotarło do mnie, co naprawdę się stało! Tyle nagadałam, chyba jestem w szoku! Boże dopomóż! Kacperku, gdzie jesteś?!

Wokół nas zebrał się już spory tłumek gapiów. Jedna starsza kobieta wykrzykiwała, że mam za swoje, bo jak można tak bezmyślnie narazić własne dziecko na niebezpieczeństwo. Pan z małym, szczerającym zajadłe pieskiem na smyczy, patrzył na mnie ze współczuciem. Jakiś młody człowiek z dziewczyną zaofiarowali swoją

pomoc przy przeszukiwaniu okolicznych ulic, ale zanim doszli do rogu ulicy, zobaczyli policjantkę pchającą przed sobą czarno-popielaty wózek z płaczącym dzieckiem.

Obok niej dwóch policjantów prowadziło młodą, elegancką kobietę. Policjantka wołała, że było trudno odnaleźć „zgubę”, bo teraz niemal wszystkie wózki są czarne, ale ta kobieta, gdy ich zobaczyła, zaraz wstała z ławki w parku i zaczęła iść w ich kierunku, prowadząc wózek i płacząc.

– Przepraszam panią za to, co zrobiłam – odezwała się kidnaperka. – Dziecku nic się nie stało, a ja wszystko wyjaśnię. Czy mogłaby pani nie zgłaszać oficjalnie porwania dziecka? Bardzo panią proszę!

Tuląc już Kacperka, spojrzałam na nią i tabun myśli przebiegł mi przez głowę. Może to byłoby najlepsze rozwiązanie? Marian się nie dowie, nie będzie afery, przesłuchań, protokołów na posterunku. Małemu nic się nie stało, ja mam nauczkę do końca życia. W oczach tej kobiety było coś takiego, że...

Zgodziłam się! Policjant co prawda nie był zachwycony takim obrotem sprawy, bo jak on się wytłumaczy z wezwania, jakiś papier musi być, ale

poradziłam mu, żeby napisał: „Falszywy alarm, bo wózek zabrała zaniepokojona sąsiadka, nie widząc w pobliżu mamy dziecka”.

– Wszystko jest w porządku! Dziękuję policji za błyskawiczną reakcję! Jak będzie trzeba, to podpiszę takie oświadczenie. Proszę zadzwonić, niech pan zapisze mój numer.

Gdy patrol odjechał, a tłumek się rozszedł, kobieta rozplakała się i zapytała, czy możemy porozmawiać.

– No tak! Oczywiście – odezwałam się stanowczo. – Wie pani, jak się zestresowałam? O mało nie dostałam zawału! W tej kwaciarni byłam tylko pięć minut, no może dziesięć, bo sprzedawczynie obsługiwała przyszłego pana młodego, który zamawiał wiązaną ślubną. Nie mógł się zdecydować, oglądał zdjęcia z różnymi propozycjami i... wszystkie mu się podobały. W końcu sprzedawczynie poradziła, żeby przyszedł z narzeczoną. Ja złapałam pierwszy z brzegu gotowy bukiet i wybiegłam, a tu – wózka nie ma! Co pani najlepszego zrobiła? Ale chodźmy może w stronę parku, nie będziemy tu tak stać na środku ulicy. Nogi mam jeszcze jak z waty ze zdenerwowania. Mam nadzieję, że bukiet wytrzyma jeszcze z pół godziny

bez wody. Jak mąż wróci z pracy, idziemy na imieninowy obiad do teściowej. Dzisiaj jest przecież Wandy, prawda? Co by nie mówić o teściowych, moja bardzo dobrze gotuje. Jej sztandarowa potrawa to udka w miodzie. Palce lizać!

Nagle spostrzegłam, że rozmawiam z tą nieznaną kobietą, niemal jak z przyjaciółką.

– A pani jak ma na imię? – zapytałam z rozpędu.

– Emilka – usłyszałam cichą odpowiedź.

– Ja jestem Janina, w skrócie – Janka. Nie lubię swojego imienia, ta Janka jeszcze od biedy ujdzie. A to jest Kacperek, ma pięć miesięcy. To nasz jedyny synek. No, ale ja tu gadam i gadam, więc teraz niech pani w końcu się wytłumaczy ze swojego czynu. Przecież nie jest pani moją sąsiadką, jak mówiłam policji.

Zapadła cisza. Słysząc było tylko świergot wróbli objadających drożdżówkę, którą ktoś zgubił na parkowej alejce.

– No niech pani mówi, bo bukiet mi zwiędnie.

– Kupię pani świeżą wiązanekę, gdy będziemy wracać.

Proszę się o to nie niepokoić, dobrze? I mam taką prośbę

– czy może mi pani mówić po imieniu? Jesteśmy chyba w podobnym wieku. Będzie mi łatwiej, dobrze?

– Dobrze, Emilko. Do mnie też możesz mówić – Janko, ok?

Emilka skinęła głową i po chwili usłyszałam:

– Jestem ciężko chora, mam raka, lekarze nie wróżą mi długiego życia. Może nie wyglądam teraz źle, ale, jak mówią, organizm wkrótce odmówi mi posłuszeństwa. Jesteśmy z mężem bardzo zamożnymi ludźmi, ale cóż z tego – na moją chorobę nie ma lekarstwa. Pieniądze to nie wszystko... Niestety nie mamy dzieci. Mąż nie może zostać ojcem – tak wykazały badania. Myśleliśmy poważnie o adopcji, ale przyplątała się moja choroba i...

Emilka umilkła, przełknęła łzy i z trudem dodała:

– Choruję też na... zazdrość! Zazdroszczę innym kobietom dzieci. Nie mogę patrzeć, jak je tulą, nachylają się nad wózkiem i coś tam pieszczotliwie szepcą, jak wycierają im noski, pocieszają, gdy się uderzą czy upadną, jak podają butelkę z soczkiem... Nie mogę patrzeć, a jednak na tej ławce w parku przesiaduję godzinami, marząc, żeby przysiadła się jakaś mama czy babcia z maluchem. Dzisiaj, gdy zobaczyłam wózek przed

kwiaciarnią, zapragnęłam choć przez chwilę zostać „mamą”, dumnie pchać wózek, usiąść tu, na ławce, kołysać malucha, patrzeć na niego, słuchać gaworzenia... I te dzisiejsze parę minut, będę pamiętać do końca życia. Janko! Nie miałam żadnych złych zamiarów, nie chciałam go skrzywdzić, nie chciałam żądać okupu za jego oddanie... Zazdrość, pragnienie macierzyństwa – osiągnęło apogeum. Nigdy więcej nic takiego nie zrobię! Wiem, że zawiniłam wobec ciebie, nie wiem, jak mogłabym ci to zadośćuczynić?

Emilka przestała się zwierzać, a ja miałam zamęt w głowie. Właściwie powinnam już wracać do domu, ale jak tu zostawić chorą, roztrzęsioną kobietę w parku?

– Daleko mieszkasz? – zapytałam, chcąc ją odprowadzić do domu.

– Nie, pięć minut stąd, na Poziomkowej. Jeżeli idziesz w tym kierunku, to pójdziemy razem, dobrze? Bo coś słabo się czuję.

– Emilko! Wybaczam ci! – powiedziałam po drodze. – Sama sobie się dziwię, ale wybaczam. Rozumiem twoje pragnienie bycia mamą! Moje się zrealizowało, twoje – nie... Tak to już jest, że jedne kobiety nie doświadczają

macierzyństwa, a inne – zabijają własne dzieciątka jeszcze przed urodzeniem! To straszne! Czytałam w internecie, że te zabójstwa idą rocznie w miliony! Ktoś wyliczył, ile metrów kwadratowych zajęłyby te małe trumienki! Szok!

Emilka słuchała tego, co mówiłam, wpatrując się stale w Kacperka. Aż mi się serce krajało! Boże! Co za przedpołudnie!

– Jesteśmy na miejscu. Tu mieszkam z Jurkiem, to znaczy z moim mężem.

Dom, a właściwie rezydencja, wyglądał zjawiskowo. Gdy tu nieraz spacerowałam, zastanawiałam się, kto tu mieszka... Emilka nieśmiało zapytała, czy chciałabym wejść, ale odmówiłam. Widziałam, że była bardzo zmęczona i z pewnością chciałaby się położyć.

– To może przyjmiecie państwo zaproszenie na niedzielny obiad? Byłoby nam bardzo miło ugościć ciebie, Janko, z mężem i synkiem.

Zgodziłam się bez namysłu, bo miałam takie wewnętrzne przekonanie, że kontakt z Emilką powinnam utrzymać. Bardzo się ucieszyła, wymieniliśmy numery telefonów i pożegnaliśmy się, bo Kacperek zaczął marudzić, pewnie był już głodny. Emilka, wchodząc do

domu nagle stanęła i zauważyła, że nie kupiła mi nowego bukietu! Uspokoiliam ją, że zamoczę kwiaty w wannie i ożyją!

Dopiero, gdy doszłam do naszego bloku, uświadomiłam sobie, że będę musiała o wszystkim opowiedzieć Marianowi. O Boże, może zadzwonić i odwołać to spotkanie? Bo będzie awantura!

Nie zadzwoniłam! Wieczorem bohaterko, ze szczegółami zdałam sprawę mężowi z tego, co zdarzyło się przed kwiaciarnią. Siedział naburmuszony, nic nie mówił, ale stopniowo nerwy puszczały. A na końcu usłyszałam słowa, których się nie spodziewałam:

– Dobrze zrobiłaś!

Niedzielny obiad upłynął w bardzo miłej atmosferze. Czuliśmy się jak w filmie. Dom, pięknie urządzone, zrobił na nas piorunujące wrażenie. Obiad podawała panienska w białym fartuszk i opasce z koronki na głowie, lokaj serwował wina, podsuwał ciężkie, chyba zabytkowe krzesła. Zastawa jak na królewskim stole, że o potrawach już nie wspomnę. Deser i kawę podano na tarasie z widokiem na prześliczny ogród!

– Emilko, mieszkasz w raju – szepnęłam z nutą zazdrości.

Za późno ugryzłam się w język. Przecież Emilka mówiła, że wkrótce umrze... Boże! A ja jej zazdroszczę takiego domu! A pamiętam, że kiedyś słyszałam takie zdanie: „I tak każdy z nas skończy kiedyś w drewnianym M2 o wymiarach metr na dwa”.

Emilka była przeszczęśliwa, bo Kacperek wcale nie płakał w jej ramionach, ale zafascynowany długimi kolczykami i pięknym sznurem pereł dotykał ich i coś tam „opowiadał” jej na ucho. Chyba wszyscy mieliśmy łzy w oczach...

Już na tarasie rozmowa zesła jednak na temat tego, skąd się znamy, dlaczego się dzisiaj tu spotkaliśmy... Jurek też był wtajemniczony w szczegóły tego zajścia, starał się jeszcze usprawiedliwiać żonę, mówiąc, że ta zazdrość też nie jest mu obca. Ale Marian tylko machnął ręką na znak, że rozumie emocje!

– Jak już mówimy o zazdrości – wtrąciłam się, żeby uspokoić Jurka – to przez nią właśnie niewiele brakowało, żebyśmy nie byli razem. I wiecie, wydaje mi się, że zazdrość to współczesna choroba, która dotyczy w

mniejszym lub większym stopniu wielu ludzi. Żyjemy w czasach rankingów, list przebojów, zwycięzców i pokonanych. Jest bardzo źle, gdy przeradza się w drugie „z”, to znaczy w zawiść czyli złe życzenia, chęć zaszkodzenia, a nawet zniszczenia kogoś, kto budzi niechęć. Tak było w przypadku moim i Danki. Przyjaźniłam się z nią od dziecka, byłyśmy jak siostry i nagle wszystko się zmieniło. Poznałam Mariana. Po kilku miesiącach zaczęliśmy mówić o ślubie.

Na wieść o zaręczynach, Danką niemal się rozplakała. Najpierw myślałam, że to z radości, bo przecież „powodzenie przyjaciela to wielkie szczęście” – mówi przysłowie. Jednak po kilku miesiącach okazało się, że były to łzy zazdrości! Danką poczuła, że schodzi na dalszy plan, nie mogła zaakceptować, że nie mam już dla niej tyle czasu, co przed poznaniem Mariana. W końcu zaczęła go oczerniać w moich oczach, i to tak skutecznie, że na miesiąc przed wyznaczoną datą ślubu, zerwaliśmy. Na szczęście wszystkie rewelacje na jego temat okazały się wysznanymi z palca plotkami. Jednak niewiele brakowało, aby mój narzeczony, a dzisiaj mąż, frustrację i zazdrość Danki przypłacił nie tylko utratą reputacji, ale przede

wszystkim – zdrowia. Bo długo nie mógł się pozbierać po tym deszczu zła wylanego na jego głowę.

– Tak było – potwierdził Marian. – Musiałem nawet korzystać z pomocy psychologa.

– Jurek jest psychologiem – wtrąciła się Emilka. – Na pewno znasz takie i podobne przypadki – zwróciła się do męża. – Nieraz mi przecież opowiadałeś, oczywiście anonimowo.

– Tak, prowadzę prywatny gabinet, tu, z tyłu domu jest wejście. Parę lat temu pracowałem na uczelni, miałem robić doktorat, ale nic z tego nie wyszło. Dlaczego? Przez zawiść, czyli wyższy stopień zazdrości. Gdy pewnego razu na seminarium w katedrze profesor pochwalił za ciekawe wyniki badań mnie, a nie koleżankę, ta rozpoczęła, jak to się mówi, kopać pode mną dołki. Ale ona do dołka póki co nie wpadła, a ja byłem stale pod ostrzałem podejrzeń o plagiat, o to, że wyniki badań nad schizofrenią, które zapowiadały się rewelacyjnie – sfałszowałem lub wymyśliłem, nie rozmawiając wcale z chorymi. Że tak sam sobie wymyśliłem ankiety... Bzdura! Miałem już dosyć tego udowadniania, że nie jestem wielbłądem! Bardzo to przeżyłem, chociaż znam ten

mechanizm uprzedzeń zazdrośników. To taki osobisty przykład. A z mojej praktyki? Zauważyłem, że ludziom mówić o zazdrości nie jest łatwo. Znacznie prościej jest przyznać się do kłamstwa, gniewu, nienawiści, pożądania. Najczęściej źródłem zazdrości jest niskie poczucie własnej wartości. Człowiek wyobraża sobie, że gdyby więcej miał, więcej znaczył, byłby lepszy, bardziej wartościowy.

– A co to jest właściwie ta zazdrość? – zapytał Marian

– Bo widzę, że ma różne oblicza.

– Dobrze to ująłeś. Definicji jest wiele. Potocznie jest ona rozumiana jako zaborczość o bliską osobę lub rzecz, chęć całkowitego posiadania, kontrolowania. Myślę, że trafne jest określenie zazdrości, jakie usłyszałem na pewnym odczycie: „Zazdrość to nowotwór ludzkiego serca. Jej działanie jest szalenie niebezpieczne. To choroba straszna, nieuleczalna niemal. Bowiem zazdrośnik konsekwentnie nienawidzi dobra, o ile nie jest jego dobrem”. Ponadto, jak już była mowa – rzuca on podejrzenia, oskarżenia, sieje intrygi i nie spocznie, aż nie udowodni, że bliźni nie jest lepszy. Dobrze też ujął problem zazdrości Szekspir pisząc: „Strzeż się zazdrości,

zielonookiej Bestii, która żre swe ofiary i drwi z nich zarazem”.

– Ale miałeś podać przykład – przypomniała Emilka.
– Przykłady lepiej się pamięta.

– Oczywiście. W zeszłym roku przyszła do mojego gabinetu powiedzmy, że Andżelika i już od progu zaczęła, że jest chora z zazdrości. Mówiła dalej, że ma trzydzieści sześć lat i trójkę dzieci, i że ciągle myślała: dlaczego inni mają, a ja nie? I usłyszałem: „– Przeróżające jest to uczucie zasysającego od środka głodu, którego żadne wysiłki nie są w stanie zaspokoić. Niby coś robisz, doganiasz, starasz się sprostać, ale to cię nie napelnia, nie karmi. Widzisz tylko syty, zadowolony świat. I czujesz frustrację.

Znajomi z trójką dzieci mają wygodny dom, my z mężem małe dwupokojowe mieszkanie. Koleżanka ma własną firmę, w ciągu kilku lat zarobiła na luksusowe mieszkanie, my bierzemy kredyt, żeby wyjechać z rodziną na wakacje na Mazury. Inna koleżanka pracuje jako wolontariuszka w fundacji ratującej zwierzęta. Takie sensowne, pożyteczne zajęcie! Jej też zazdrościłam” – przyznaje. Andżelika nie ukrywa, że przez to źle spała,

często chorowała. Jej życie, to, kim jest i co robi, nie miało znaczenia. Pomogła terapia. Jednak zanim trafiła do mnie, musiała przyznać się do zazdrości przed sobą. A to nie było łatwe. Powiedziałem jej, że zwykle zazdroszczą ludzie słabi i niepewni siebie, że pomogę jej uwierzyć w siebie, w swoje możliwości. Inny przypadek: Janek (trzydzieści lat) poznał fantastyczną dziewczynę. I zawładnął nią całkowicie, kazał stale siebie adorować. Każda radość dziewczyny, bez żadnych podtekstów, wynikająca z kontaktu z kimś innym, z koleżanką, kolegą z pracy, sąsiadem, a nawet z ulubionym psem, przyprawiała go o drżenie. To był objaw lęku przed odrzuceniem, często zupełnie bez podstawy, ale realnie żyjący w zazdrośniku. Jan cierpiał z tego powodu, że to nie on jest w centrum uwagi. Bo przecież jego dowcipy są najlepsze, jego pomysły najbardziej trafne itd. Nie mógł ścierpieć sukcesu bliźniego, chciał go odebrać, pożerał wszystko dla siebie. Drugi człowiek służył do zaspokajania własnych potrzeb. A miłość zaborcza, zazdrosna o każdy gest, słowo, spojrzenie to nie jest dobra miłość i rzadko prowadzi do czegoś dobrego. Nie można przecież zawładnąć innym człowiekiem na wyłączność.

– Mi się często zdarza – wtrącił się Marian – że nagle ogarnia mnie smutek, gdy widzę, że inni są ode mnie lepsi. Trenuję biegi, pasjonuję się maratonem, ale nigdy jeszcze nie udało mi się być choćby w pierwszej dziesiątce. Złości mnie nie tyle doskonałość, sprawność innych, ale straszliwe przekonanie, że w porównaniu z nimi nie jestem wiele wart. Chętnie chwalę zwycięzcę, ale już trudniej mi przychodzi wieszować tym, którzy tak długo mieli podobne miejsca, nawet gorsze niż ja, a teraz są w czołówce. Tak jak mój kuzyn Wojtek, Janka wie, jak się wtedy wściekam, prawda? Minimalizuję sukces Wojtka, dodając coś złośliwego, typu: „– Był na mecie mokry, ziajał jak pies i nie mógł ustać na nogach”. Ja właściwie nie pragnę tego zwycięstwa, co mi po jakimś pucharze, tylko pełni funkcję „kurzochwytu”, ale zazdroszczę i wkurzam się, że Wojtek dostaje nagrodę. Nawet niepostrzeżenie zrobiłem sobie selfie z tym pucharem, żeby się pochwalić przed sąsiadem. Okropne, prawda? Ale nie mogę sobie z tym poradzić!

Jurek zaczął mu coś mówić półgłosem, ale ja zasłuchałam się w te opowieści i zrobiło mi się nieswojo. Wyszłam do ogrodu. Na tyłach domu było wejście do

gabinetu. Ale te ściany się nasłuchiwały o zazdrości, zawiści i innych problemach... – zamyśliłam się.

Nagle z sąsiedniego ogrodu rozległ się wrzask jakiegoś małolata:

– Tato! Jak nie kupisz mi tego iPhone'a, to pożałujesz! Powieszę się! Zobaczysz! Widziałem w internecie takiego gościa, co kupił sobie sznur. To co, że nawet używany sprzęt, kosztuje przeszło dwa tysiące?! To tak dużo? Nie przesadzaj! Antek ma, Janusz też, i Mirka, a ja, co? Tego mojego smartfona, to wstyd pokazać! Ja muszę mieć takiego jak oni! Zazdroszczę im i już! Bo już śmieją się ze mnie, rozumiesz? Trzeba nadążać za techniką, jasne? Żyjemy w świecie informacji! Tak mówiła nasza wychowawczyni!

Młody wyczerpał już chyba swoje argumenty w tej kwestii, bo nagle zrobiło się cicho. Dlatego usłyszałam, że Kacperek popłakuje. No nie dziwota, te krzyki go na pewno obudziły. Taki mały, a już zazdrośnik. Ciekawe, czy tato się złamie i przestraszy, że syn spełni swoje groźby? – pomyślałam z niepokojem. Marian już uspokajał Kacperka. Ciekawe, czy on za parę lat też będzie

się tak wydzierał? No, ale może iPhony stanieją do tego czasu?

Salon cały był zalany słońcem. Pięknie oświetlona była ściana, na której centralne miejsce zajmował duży drewniany krucyfiks.

– To jakaś pamiątka rodzinna? – zapytałam Jurka, który zaciągał markizę nad tarasem.

– Cały dom wraz z wyposażeniem i pamiątkami odziedziczyliśmy po moich rodzicach. A ten krzyż wisiał jeszcze w sypialni moich pradziadków. My powiesiliśmy go w salonie, żeby świadczył przed gośćmi, że jesteśmy ludźmi głęboko wierzącymi! Piękny, prawda?

– Janka, musimy już iść, bo Kacper marudzi. Chyba boli go brzuch. Nie mamy przy sobie tego zestawu ziół.

– Bardzo dziękujemy za miłą wizytę – Emilka wyglądała już na bardzo zmęczoną. – Do zobaczenia. Mam nadzieję na utrzymanie tej znajomości!

W czasie drogi powrotnej, nagle przyszedł mi do głowy wspaniały pomysł, którym od razu podzieliłam się z Marianem.

– Poprosimy Emilkę i Jurka na rodziców chrzestnych Kacperka. Moi rodzice wracają za tydzień, można już myśleć o uroczystości. Co ty na to?

Pamiętam, że chrzest odbył się na początku września bardzo uroczyście, w naszym kościele parafialnym. Minęło od tego czasu osiem lat! Pierwsza Komunia Święta będzie w maju. Już szykujemy się na ten dzień! Jurek z Emilką też.

Tak, Emilka żyje wbrew prognozom lekarzy! Właśnie dzwoniła, że mam wpaść do niej, bo kupiła sobie nową sukienkę na siódmego maja. Miłość uzdrawia!

Dom pod lasem, czyli „grzechy spożywcze”

– Zuzia! Słyszysz mnie? Mówi Helenka! Tak? To super! Przecież do tej Ameryki to strasznie daleko.

– Heła! Nie krzycz tak! Słyszę cię bardzo dobrze. Jakbyś była w pokoju obok. Co tam u was nowego?

– No, dzwonię, siostra, żeby się pochwalić, że dostałam dobrą pracę. Renatka też! Widzisz, ty pojechałaś do ciotki aż za ocean, żeby zarobić, a tu praca leży na ulicy! No może nie tyle na ulicy, ale na tych nieużytkach pod lasem, tam od strony leśniczówki. Wiesz, gdzie – prawda? No nie, nie jest to praca przy zalesianiu, coś ty, to nie byłoby dla mnie.

– Heła! No to mów konkretnie, czemu mam się domyślać?!

– Słuchaj! Ten teren kupił jakiś miastowy facet parę miesięcy temu. Mówiono na wsi, że zbuduje tam sobie daczę, no wiesz, taki domek letniskowy, i będzie hodował konie. Ale okazało się, że to nic z tych rzeczy! Powstał tam duży dwupiętrowy dom z parkingiem dookoła i z różnymi sportowymi atrakcjami – kortem tenisowym, siłownią „pod chmurką”, krytym basenem. Coś tam jeszcze urządzają, zadaszają, ogradzają, ale przy kościele i przy

sklepie wisiała kartka, że poszukują pracowników. Pół wsi tam poleciało zaraz w poniedziałek.

– No i co będziesz robić? Wyduś wreszcie!

– Ja będę pokojową! No mówię ci – jak w filmie! Widziałam kiedyś taki film o hotelu. Był tam sprzątający personel; dziewczyny wyglądały bardzo elegancko – granatowe sukienki, białe fartuszki i czapeczki. Tych pokoi jest mnóstwo. A jeszcze korytarze, sale, stołówka. Chociaż...

– Co „chociaż”? Stołówka nie jest jeszcze gotowa?

– Nie, nie o to chodzi. Ale zastanawiam się, po co w tym domu stołówka.

– A co, goście mają jeździć do restauracji w mieście? Przecież to kawał drogi. A może mają sami coś pitrasić na kuchence w pokoju?

– Stołówkę właśnie meblują. Ale pewnie będzie pusta, bo jak się dowiedziała Renia, którą zatrudniono w kuchni – w tym domu będzie się odzwyczajając gości od jedzenia!

– Całkiem odzwyczajając? No coś ty? Dlaczego? Będą ich głodzić? To jakieś ekskluzywne więzienie? A może coś a’la szpital?

– Raczej to drugie. Jak czekałam pod sekretariatem, żeby podpisać umowę o pracę, to podsłuchałam, że będzie tu „profesjonalna klinika odchudzania”. Tak sekretarka przedstawiała to miejsce, gdy ktoś dzwonił. Pytała, ile ten ktoś waży, ile ma wzrostu, ile lat itd.; mówiła, że potrzebne będą różne zaświadczenia lekarskie i że jest już kolejka na kolejne turnusy – gdzieś na pół roku. Rozumiesz?! To będzie stała praca! Ludzie tu walą drzwiami i oknami, chociaż pobyt miesięczny kosztuje masę kasy! Ciekawe, za co te grubasy tyle płacą, jak mają tu siedzieć bez jedzenia? Jakieś to dziwne, prawda? Ale Zuzia! Kończymy na dziś, zagadałyśmy się, a ja muszę się wyspać, bo jutro na siódmą idę do pracy. Zaczynamy generalne sprzątanie przed pierwszym turnusem! Następnym razem ci opowiem jak sprawy wyglądają. Albo może lepiej napiszę maila. Całuję cię, siostra, pozdrów ciocię Kazię. Trzymajcie się!

Witaj Zuziu!

Przez około dwa tygodnie trwały jeszcze prace wykończeniowe przy wysokim, szczelnym płocie, oddzielającym cały teren kliniki. Obok powstał spory

parking dla pacjentów i personelu. Wewnątrz uruchamiano kuchnię, coś więc do jedzenia będzie! Wysprzątane i urządzone pokoje z łazienkami i tarasami – czekały na gości

W niedzielę przyjechał burmistrz z miasta i w towarzystwie wójta przeciął wstęgę, proboszcz z naszej parafii poświęcił dom, po czym odbyło się party w ogrodzie. Był nawet dziennikarz z wojewódzkiej gazety, robił reportaż i zdjęcia. Mi też zrobił zdjęcie i Renatce w kuchni. Nawet ją pytał, co jutro będzie na obiad, ale zestresowana kamerą – odesłała go do dietetyczki.

Wieczorem zaczęli przyjeżdżać pierwsi goście. Znany mi z TV dziennikarz z równie otyłą jak on żoną, kilka kobiet, które ledwo wyszły z samochodów, potężny facet z tak samo potężnym synem, i wyobraź sobie – ten aktor, który grał ostatnio w serialu „Oaza” zbira. Oglądałaś na „Polonii”? muszę go poprosić o autograf.

To tyle na dziś. Ściskam Cię. Dobranoc!

H.

Cześć Zuzia!

Już od trzech tygodni pracuję „U Łakomczuchów”. Ostatnio pisałam do Ciebie jeszcze przed rozpoczęciem turnusu. Czas tak szybko leci, w jednym tygodniu mam zmianę w godzinach od siódmej do czternastej, a w drugim – od czternastej do dwudziestej, i zawsze jest co robić, chociaż na zmianie jesteśmy we trzy. Sprzęt do sprzątanania jest supernowoczesny, więc praca nie jest ciężka. Mieliliśmy szkolenia – co i jak robić, jak często, kiedy zmieniać pościel, ręczniki itp.

W moich pokojach jest osiem pań i czterech panów. Wszystkich już poznałam, pamiętam nawet ich imiona. Biedni ludzie! No, oczywiście nie chodzi mi o ich finanse, bo pewnie jest z nimi całkiem nieźle, ale – większość ma jakieś takie smutne spojrzenie. Może to z głodu? Bo jak kiedyś zastępowałam Renię na stołówce i widziałam, co dostają na śniadanie, obiad i kolację, to... Ja bym nie przeżyła dwóch dni na takim wikcie. Ale cóż – kiedyś przesadzali, co wciąż widać po ich wyglądzie, to teraz muszą odpokutować. Pamiętam z religii, że nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu to jeden z grzechów głównych. I dlatego – myślę sobie – wylądowali w tym ekskluzywnym domu, jak w czyścicu.

Wczoraj mieliśmy drugie szkolenie – z panią psycholog. Nie wolno nam ulec presji, prósbom pacjentów, żeby kupić im jakieś wiktuały, nawet jeśli będą nam obiecywali za to złote góry. Nie wolno i już! Bo cała terapia weźmie w łeb, a taki pracownik, który się ulituje i poczęstuje ich czymkolwiek, będzie natychmiast dyscyplinarnie zwolniony. Podkreślał to też lekarz, który codziennie przyjeżdża do kliniki. Uspokoił nas, że monitoruje stan zdrowia pacjentów i nic złego im się tu nie stanie, a to, że stracą ładnych parę kilogramów – wyjdzie im tylko na dobre.

Zostaliśmy też pouczeni, że podczas sprzątania pokoi, łazienek, korytarzy, mamy dyskretnie sprawdzać, czy pacjenci nie chomikują gdzieś przemyconej jakimś sposobem żywności! Nie podoba mi się takie śledztwo, bo to przecież są dorośli ludzie, którzy przyjeżdżając tu, podpisali „cyrograf”, że podporządkują się regulaminowi kliniki, nie będą podjadać, wychodzić na zewnątrz do sklepu itd. Ale cóż – nie chcę stracić tej pracy, chociaż mi ich żal. Zobaczymy, jak się to wszystko potoczy!

Zuzia – tęsknię za Tobą!

H.

Moja Kochana!

Dawno nie pisałam, czas tak leci, że nie mogę w domu z niczym zdążyć. Jednak te siedem godzin w pracy plus dojsście (ok. dwa kilometry w jedną stronę) to dużo.

Ale generalnie jestem zadowolona. Pacjenci mnie bardzo lubią, chwalą moją pracę, no, może poza panem Mirkiem, u którego „zarekwirowałam” dwie mleczne czekolady. Nie musiałam wcale robić „rewizji”, bo nieopatrznie zostawił je na nocnym stoliku. Ale cóż – taka jest moja praca! Przekazałam „znalezisko” do sekretariatu, a pan Mirek patrzy teraz na mnie spode łba, chociaż przyznał, że mnie rozumie, bo musiałam tak zrobić.

A! I jeszcze jedno! W pokoju pani Małgorzaty stały od paru dni na stoliku trzy butelki wody „Żywiec”.

Nie zwracałam na nie uwagi, bo pacjenci powinni często uzupełniać płyny, i to w dużych ilościach. Ale wczoraj zauważyłam, że płynu ubywa tylko z jednej z nich, a do tego ma on dziwną, brązowo-żółtą barwę. Odkręciłam zakrętkę i poczułam ostrą woń... alkoholu. Skruszona pani Małgorzata tłumaczyła mi, że bez kieliszka

jarzębiaku nie może dobrze funkcjonować, a co dopiero ćwiczyć na siłowni, że przecież od razu spali te kalorie. Niestety, butelka również wylądowała w sekretariacie...

Pani psycholog starała się im wytłumaczyć, że źle postępują, że robią sobie krzywdę... Mam nadzieję, że to się więcej nie powtórzy!

Zuziu! Napiszę za parę dni, bo teraz muszę się zbierać do pracy. Dziś mam drugą zmianę! Całuję Ciebie i ciocię mocno – H.

Zuziu Kochana!

W dzisiejszym mailu przesyłam Ci dwa nagrania. Mam nadzieję, że dasz radę odtworzyć wersję audio. Jedna z pacjentek – pani Ewa – nagrała sobie pogadankę pani dietetyk (cz. A) i kazanie naszego księdza proboszcza (cz. B). Bo w niedzielę odprawia on w stolówce Mszę świętą dla chętnych pacjentów. Tym razem było czytanie z Listu świętego Pawła do Filipian (Flp 3,18-19): „Wielu bowiem postępuje jak wrogowie krzyża Chrystusowego [...]. Ich losem – zagłada, ich bogiem – brzuch, a chwala – w tym, czego winni się wstydić. To ci, których dążenia są przyziemne”!

Posłuchaj proszę tych wypowiedzi i prześlij innym, bo myślę, że niemal każdemu przydadzą się takie refleksje.

Całuję – H.

Cz. A – Krystyna Nowakowska-Trocka – Dietetyk:

Drodzy Państwo!

Dzisiaj powiem parę słów o braku umiaru w jedzeniu i picciu. Następne pogadanki będą dotyczyły spraw zdrowego jedzenia, różnych diet i przepisów żywieniowych. Ale dzisiaj – dotkniemy problemu, który Państwa tu przyprowadził!

Nieumiarkowanie to nie zachowanie pewnej kontroli w ilości spożywanych pokarmów i przyjmowanych płynów. W swej konsekwencji wada ta, ściśle powiązana z ludzkim ciałem i jego potrzebami, staje się pewną formą kultu dla witalności i jedzenia. Każdy bowiem nadmiar szkodzi ludzkiemu zdrowiu, zaś rozleniwienie spowodowane przesytem, często staje się źródłem uległości wobec pokusa ciała.

Przejawy nieumiarkowania w jedzeniu i picciu są następujące:

Nieumiarkowanie w jedzeniu i picciu należy do wad polegających na nadużyciu praw człowieka do zaspokajania potrzeb witalnych. W języku potocznym wadę tę nazywamy obżarstwem (łakomstwem, smakoszostwem czy wybrednością). Nieumiarkowanie w picciu może przybierać postać opilstwa, które nie musi dotyczyć napojów alkoholowych, lecz odnosi się także do używek (kawa, herbata, napoje gazowane, itd.), pijaństwa (człowiek nadużywający alkoholu, piwosz) i alkoholizmu.

Wyróżnia się też pewne wymiary nieumiarkowania w jedzeniu i picciu. Obżarstwo można zdefiniować jako spożywanie pokarmów ponad potrzebę organizmu człowieka. Łakomstwo natomiast jest zachłannością w jedzeniu, a zatem bardziej dotyczy sposobu przyjmowania pokarmów niż ich ilości. Smakoszostwem nazywamy skłonność osób, kładących w odżywianiu największy nacisk na doznaniowe walory pokarmów, a więc bawienie się rozkoszami podniebienia. Wybredność dokonuje selekcji tych doznań, nie zaspokaja smaku nawet wyszukane jego drażnienie, musi ono mieć w sobie coś szczególnego. Jak dla prawdziwego znawcy koniaków ich odmiany oraz ilości gwiazdek są problemem wielkiej wagi,

tak dla smakosza jest z różnymi wyszukanyimi daniami, klasą restauracji, w jakiej się je zamawia, oprawą estetyczną towarzyszącą ich przyjmowaniu. To wszystko nie jest tylko zwyczajną służbą ciału, lecz stanowi gloryfikowanie jego potrzeb i czynienie z nich wyznacznika kultury, a nawet rodzaju kultu.

Nieumiarkowanie w picciu jest nadużywaniem płynów, z których część w znacznym stopniu może wpływać na zdrowie człowieka. Do najczęściej jednak nadużywanych substancji należy alkohol (także w postaci piwa).

Ten rodzaj nieumiarkowania ma różne stopnie intensywności, od lekkiego podchmienia (rausz) aż do utraty przytomności. Gdy przekroczy się pewien próg ilościowy, następuje upojenie (upicie), czyli zaburzenie funkcji psychosomatycznych (m.in. ruchowych, wzrokowych czy mówienia i myślenia). Upojenie tzw. amerykańskie polega na wzmacnianiu skutków przyjmowania alkoholu przez równoczesne zażywanie barbituranów (substancja, która jest głównym składnikiem leków nasennych).

Pijaństwo jest niewątpliwie wykroczeniem moralnym i prowadzi do alkoholizmu, ale nie musi od razu być wadą

charakteru. Pijaństwo wiąże się często ze słabą osobowością lub jest wynikiem pewnych zwyczajów i obyczajów społecznych. Jego szkodliwość – ale i atrakcyjność – polega na czasowym ograniczeniu albo zawieszeniu wyższych funkcji duchowych, a podrażnieniu funkcji psychosomatycznych. Człowiek schodzi jakby na niższy poziom istnienia, zapomina o dręczących go problemach i przeżywa niskie satysfakcje zwykłej witalności.

Wielu ludzi cierpi na nieuporządkowaną miłość do jedzenia i picia. To degraduje człowieka, naraża go na frywolność i na brak właściwego rozeznania rzeczywistości. Człowiek, mając umysł i wolę zaprzątnięte sprawami żołądka, doprowadza do tego, że umykają mu sprawy istotne. Ktoś może powiedzieć:

– Co nam szkodzi coś więcej czy lepiej zjeść? Jestem u znajomych, pani domu przygotowała wiele potraw, naciska, aby wszystkiego popróbować, gniewa się, jeżeli odmawiam.

Czy mam odwagę jednak odmówić? Jeśli nie potrafimy panować nad własnym obżarstwem – to nad czym panujemy? Jednocześnie wpadamy w pułapkę przesady co

do czasu, jaki poświęca się na jedzenie, myszkowanie po półkach w marketach, na wyszukiwaniu wystawnych przepisów...

Nasze babcie często powtarzały: „Śniadanie zjedz sam, obiadem podziel się z przyjacielem, kolację oddaj wrogowi”! Bardzo dobra rada, prawda?

I nigdy nie róbmy zakupów, będąc głodnym. Od razu ma się ochotę na o wiele więcej niż potrzebujemy czy możemy zjeść. W rezultacie kupujemy dużo więcej niż powinniśmy. Ile z tego się marnuje? A wyrzucając jedzenie, czasem warto się zastanowić, jak wielu ludzi na świecie głoduje. Wiem, brzmi to banalnie, ale to fakt. Dlatego też nigdy nie wyrzucam chleba na śmietnik. Z chlebem jest podobnie jak z rzeczami poświęconymi – można je spalić, ale nie wyrzucać na śmietnik.

Cz. B – Ksiądz Wojciech Rebeta, parafia świętego Michała Archaniola w Lublinie

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Kochani! Dziś będę mówił o „grzechach spożywczych”! Wśród grzechów głównych Katechizm Kościoła Katolickiego wymienia łakomstwo. Pod tym

pojęciem rozumie się w pierwszej kolejności nieumiarkowanie w jedzeniu i picciu, dosadniej zwane obżarstwem.

Łakomstwo wydaje się być jednak terminem znacznie pojemniejszym. Dotyczy bowiem nie tylko sytuacji, w której ktoś karmi ponad potrzebę swój brzuch, ale jest pewnym trwałym stanem, chorobą duszy, obejmującą nadto pożytkowością nie tylko to, co się spożywa, ale i inne dobra.

Nie trzeba nikogo przekonywać o konieczności odżywiania się. Problem łakomstwa dotyczy jedynie właściwych proporcji i hierarchii wartości. Człowiek żyje nie po to, żeby jeść, ale je po to, aby żyć. Pod tą zasadą podpisze się zapewne bardzo wielu ludzi, ale w praktyce okazuje się, że właśnie treścią ich życia jest szeroko pojęta konsumpcja. „Wielu bowiem postępuje jak wrogowie krzyża Chrystusowego [...]. Ich losem – zagłada, ich bogiem – brzuch, a chwala – w tym, czego winni się wstydzić. To ci, których dążenia są przyziemne” (Flp 3,18-19). Obżartuch zapomniał o pierwszeństwie karmienia swojego wnętrza, o nadprzyrodzonym powołaniu każdego ludzkiego istnienia. Zszedł na poziom życia

psychofizjologicznego i biologicznego, w którym dominującą rolę odgrywają instynkty.

Wzbudzają one głód, który domaga się zaspokojenia bez pytania się o realne potrzeby, konsekwencje i (pisane z dużej litery) Dobro. Tym ostatnim jest życie z wiary, które prowadzi do spotkania z Bogiem.

Doskonale znane są słowa Chrystusa: „Nie samym chlebem żyje człowiek, ale każdym słowem, które pochodzi z ust Bożych” (Mt 4,4). Jezus wypowiada je do szatana, który przecież cały czas kusi w podobny sposób. Jezus nie neguje potrzeby zwykłego chleba, ale wpisuje ją w kontekst całego ludzkiego życia. Dla łakomczucha zaś jego własne odczucia są najważniejsze i pierwszeństwo ma zaspokajanie wszystkiego, co rodzi się jako instynktowna potrzeba danej chwili. Nie ma w nich odniesienia do woli Bożej, jest za to odniesienie do własnego „ja”, jako kryterium wyboru tego, co słuszne, co się należy, z czym jest dobrze. Łakomczuch szuka jedynie przyjemności. Z tego względu ciągle musi być zaspokajany, a jednocześnie żyje nieugaszonym pragnieniem. Może doświadczać nawet jednocześnie przesylenia i braku. W istocie cierpi, choć nie chce odwrócić się od swoich przywiązań. Skrajnym

przykładem pobłądzenia w dziedzinie spożycia jest alkoholizm, narkomania czy bulimia.

Jezus przestrzega przed tym, aby „serca nie były ociążałe wskutek obżarstwa, pijaństwa i trosk doczesnych” (Łk 21,34). Choć objawy łakomstwa mogą przejawiać się fizycznie, nie one są jednak najważniejszym problemem. Zniszczeniu ulega przede wszystkim serce człowieka, jego wolność i tym samym proces dojrzewania do pełni człowieczeństwa. Łakomczuch głodzi tego, który ma powołanie, by wzrastać „na obraz i podobieństwo” Boże. Przeciwnie, staje się jego karłem i karykaturą.

Łakomstwo może dotyczyć także pochłaniania tego, co niematerialne. Telewizja, internet, książki, filmy, muzyka, obrastanie w różne rzeczy, spotkania z ludźmi. Oczywiście, wszystko to samo w sobie nie jest złe (a może być wielkim dobrem), staje się jednak takim, gdy jest źle użyte, wynika nie z właściwej potrzeby, ale z destrukcyjnej żądzy. Jej istotą jest samotność, która nie pozwala nauczyć się właściwych relacji międzysobowych, w tym między stworzeniem a Stwórcą. Obżartuch nie wchodzi w miłość jako wymianę darów. Jest jednostronnym konsumentem. Iluż ludzi dzisiaj jest nałogowymi internautami,

komputerowymi graczami czy komórkowymi maniakami. Porażają swoją pustką, miernotą i egoizmem.

A książka? Dlaczego pojawiła się w katalogu pokus? Będzie nieumiarkowaniem wtedy, gdy nie pozwoli zająć się tym, co w danej chwili jest właściwe, będzie zaś karmić lenistwo, próżność i powierzchowność. Przykładem może być dziecko, które nie chce oderwać się od lektury, gdy w tym czasie czekają już lekcje, ale i osoba dorosła o aspiracjach głębokiego życia duchowego, która zamiast pożądaney w danym czasie modlitwy czy pracy, do której wzywa ją Bóg, wybiera przyjemne spijanie słodkości.

Problem łakomstwa nie dotyczy zatem zbytniego gromadzenia w sobie pewnych dóbr (choć w tym się przejawia), ale skupienia się na egoistycznych pobudkach, pokładania nadziei w rzeczach, osobistych bożkach-przyjemnościach, negacji tajemnicy Krzyża, jako zbawczego cierpienia. Święty Paweł powiada: „Bo królestwo Boże – to nie sprawa tego, co się je i pije, ale to sprawiedliwość, pokój i radość w Duchu Świętym” (Rz 14,17). Wybór niewłaściwego pokarmu, co do jakości, ilości, jego miejsca i czasu, ostatecznie przynosi człowiekowi głębokie niezaspokojenie.

Nie stronię od konfesjonatu, wręcz przeciwnie, chętnie w nim zasiadam. Wypowiadałem już przeszło 20 000 grzeszników. Niezmiernie rzadko mogłem usłyszeć wyznanie grzechu obżarstwa czy temu podobne. Zapewne dlatego, że sprawa jedzenia i picia w kategoriach moralnych pojmowana jest tylko, jako przestrzeganie bądź łamanie postów. Niestety, Polacy chorują zbyt często i umierają za wcześnie, a to bardzo często związane jest z tym, co jedzą i piją.

„Grzechy spożywcze” to przede wszystkim obżarstwo. Polega ono na jedzeniu pokarmów ponad naturalne potrzeby organizmu. Jest to najbardziej prymitywna słabość człowieka. Jego przyczyny mogą być bardzo różne, np. próżność, małostkowość, swego rodzaju głupota czy słabość woli. Łakomstwo to zachłanność w jedzeniu.

Nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu to brak naturalnego dla organizmu wyczucia w ilości przyjmowanych pokarmów. Brak umiaru to brak roztropności, rozwagi, zwykłego rozsądku podczas jedzenia.

Słyszeliśmy dzisiaj: „[...] ich bogiem – brzuch [...]”. Tak napisał do Filipian święty Paweł. Zapewne pamiętał,

albo odwoływał się do zwyczaju niektórych Rzymian z wyższych sfer, którzy podczas wystawnych przyjęć, po spożyciu nienaturalnej ilości pokarmu i napoju, piórkiem podrażniali podniebienie, doprowadzając do wymiotów, po czym przystępowali do kontynuacji jedzenia. Czy i dzisiaj są ludzie podobnie czyniący, którzy żyją, aby jeść? Nie odwrotnie? Współcześnie niektórzy do jedzenia przywiązują taką wagę, jak do Boga. A przecież jedzenie, choć spełnia różne role (sprzyja zdrowiu, bywa przyjemnością), to jednak pozostaje tylko jedzeniem. Kościół nie błogosławi pokarmów po to, aby ich nieumiarkowane spożywanie stawało się grzechem. A modlitwa przed jedzeniem, przede wszystkim winna uczyć umiaru. Patrząc na długowieczność zakonników w zamkniętych klasztorach, dochodzimy do wniosku, że małe posiłki i regularność ich spożywania, zapewniają długie życie.

Jakkolwiek spojrzymy na interpretację omawianej wady głównej, nie wolno nam zapominać o tym, że ciała nasze są świątynią Ducha Świętego. A więc umiar, opanowanie, roztropność, a nade wszystko uduchowienie pomaga nam po Bożemu podejść do jedzenia i picia

według wskazań świętego Pawła: „Czy jecie, czy pijecie, czy cokolwiek innego czynicie, wszystko na chwałę Bożą czyńcie” (1Kor 10,31). Ciekawa rzecz, Pan Jezus po swoim zmartwychwstaniu z apostołami spożył śniadanie, a także, gdy wskrzeszał ludzi, polecał dać im jeść. To wszystko miało być potwierdzeniem tego, że żyją naprawdę. Ten żyje, kto je. Je się po to, aby żyć, a nie żyje się po to – aby jeść!

Zuziu!

Dzięki za telefon od Ciebie! Jak ja się cieszę, że za miesiąc wracasz! Na pewno znajdziesz tu pracę. Wiem, że szukają kogoś, kto ma zmysł artystyczny i wprowadzi do tego domu „ducha piękna i ciepła”, bo na razie są gołe ściany i ludzie zgłaszali, że to źle wpływa na ich psychikę. Pokazałam pani dyrektor Twoje prace – rysunki, stroiki, ikebany z suszonych kwiatów – i była zachwycona. Czeka na Ciebie.

Na razie staram się ocieplić atmosferę przez rozmowy z moimi „lokatorami”. Czasem się zdarza, że gdy sprzątam, to pacjenci nie wychodzą z pokoju, bo leżą i odpoczywają np. po ćwiczeniach czy po zajęciach na

basenie, i chętnie ze mną rozmawiają. Mówią mi, często ze łzami w oczach, że ten brak kontroli nad jedzeniem, to niekoniecznie ich wina, chociaż jest faktem, że zblądzi.

Pani Asia na przykład zajadała, zwłaszcza słodyczami, swoje nieudane małżeństwo. Po każdym stresie, poniżeniu przez męża „musiała” zjeść czekoladę czy kawał ciasta, które zawsze miała w zapasie, aż utyla do takich rozmiarów, że trudno było jej się poruszać. Wysiadło jej serce, nogi... Wierzy, że pobyt w klinice jej pomoże... Za dwa miesiące ma kolejną sprawę rozwodową i postanowiła, że będzie się pilnować i nie zaprzepaści trudu, jaki wkłada teraz w odzyskanie właściwej wagi.

A pani Weronika miała trudne, biedne dzieciństwo. W domu było siedmioro dzieci, ojciec pił, matka chorowała, ona często była głodna, niewłaściwie do pory roku ubrana. Dlatego, gdy wyszła za mąż i sytuacja jej się polepszyła, zaczęła jeść na zapas, stanowczo za dużo, ale nie mogła sobie z tym poradzić. Nawet pod poduszką trzymała wafelki, bo jak tylko poczuła głód, wpadała w panikę i musiała coś zjeść! Nie pomagały zapewnienia męża, że może jeść normalnie, że mają pieniądze, że nie będą głodować, na nic się zdały wizyty u psychologa i

psychiatry. Teraz tutaj szuka ratunku, bo jej życie jest poważnie zagrożone, a ma dwójkę dzieci, które bardzo kocha i chciałaby dla nich żyć. Niestety dzieci też są otyłe, bo je przekarmiła, nie szczydziła im kieszonkowego na hamburgery, chipsy, lody, bo ona w ich wieku tego nie miała...

No cóż, bywa i tak, prawda?

A pan Zenek twierdzi, że w jego rodzinie od pokoleń wszyscy „dobrze wyglądali”, bo lubili dobrze zjeść. On teraz też ma nadwagę, ale to żona go tu wysłała, bo miał stan przedzawałowy i lekarz zalecił, żeby zgubił parę kilogramów.

– No, może parędziesiąt – uśmiechnął się, podając to sprostowanie. – A w domu jakoś mi nie szło to odchudzanie. Tu zresztą też mi marnie idzie, ale przecież mówiłem, że duży brzuch mam zapisany w genach!

Rozmowę z panem Zenkiem przerwała mi pani psycholog. Zapraszała do stolówki na „coś ciekawego”. Miałam chwilę przerwy, więc szybko przysiadłam przy wyjściu – bo na dużym ekranie pokazały się jakieś obrazy. Okazało się, że syn pani psycholog pasjonuje się nowymi

technologiami, sztuczną inteligencją i symulacją komputerową.

Ze zdjęć naszych pacjentów, które były robione na początku turnusu – zasymulował ich postacie – takie, jakie powinny być za około miesiąc.

Niesamowite były ich odmienione sylwetki – zgrabne, smukłe, z uśmiechem na ustach, w eleganckich sukienkach lub garniturach...

Z sali odzywały się okrzyki pełne niedowierzania i radości:

– To ja?

– To moje ciało?

– To niemożliwe, ja chcę tak wyglądać!

Pani psycholog podsumowała prezentację mocnymi słowami:

– To starajcie się i wytrwajcie, moi drodzy! Komputer nie kłamie!

I tak, Zuziu, toczą się ludzkie losy. Niedługo przyjedziesz i poznasz naszych pacjentów. Turnus trwa trzy i pół miesiąca. Do zobaczenia, kochana!

H.

Dom „przepuszczalny”, czyli ściany mają uszy

– Dzień dobry, pani Moniko! – zawołałam z radością.
– Może przysiądzie się pani do mnie? Bardzo przyjemnie jest tu, w cieniu pod kasztanem.

– Witam pani sąsiadko! Chętnie, ale za chwilę, założę tylko Kasi i Adasiowi czapeczki, bo słońce rzeczywiście przygrzewa coraz mocniej, a to przecież już połowa września. Ojej, a dokąd oni pobiegli? Moment i już znikają mi z oczu!

– Pani Moniko, widzę ich za tym krzakiem, w piaskownicy.

Monika musiała jeszcze zażegnać jakiś dziecięcy konflikt, bo Adaś nagle zaczął głośno płakać, gdy inny chłopczyk wyrwał mu wiaderko i łopatkę. Gdy w końcu przysiadła na ławce, pomimo że była mocno zasapana, przyjrzała się uważnie mojej twarzy i zapytała, jak się czuję, bo jej zdaniem wyglądam mizernie.

– To pewnie dlatego, że praktycznie od paru nocy nie zmrużyłam oka!

– A co się dzieje? Coś złego ze zdrowiem? – Monika zapytała zatroskanym głosem.

– Nie, ale niedawno wprowadzili się do mieszkania obok nowi lokatorzy. Nie poznałam ich jeszcze osobiście, widziałam tylko przelotem, gdy wnosili swoje walizy i pudła z dobytkiem. Ale wiem, że głosy mają donośne i charakterki – mówiąc delikatnie – trudne.

– Oj, a czy nie ocenia ich pani zbyt pochopnie, nie znając...

– Może i tak – odpowiedziałam porywczo – ale gdy słyszy się późną nocą wciąż kłótnie, wyzwiska, jakieś okropne słownictwo, to człowiek już nie wie nawet, co o tym sądzić. A przez te nasze ściany w bloku wszystko słychać! Często też ich rozmowy przenoszą się na balkon. Widziałam również, że nie zamykają okien, bo pewnie wietrzą mieszkanie po remoncie.

– Pani Jadziu! To rzeczywiście okropne. A słychać, o co chodzi w tych wrzaskach?

– Tak, na przykład właśnie wczoraj poszło im o... komputer. Chyba kupili nowe meble i nie chcieli się zgodzić, gdzie go postawić – tyłem czy przodem do okna balkonowego. Matka chciała przodem, żeby jak czasem wchodzi do pokoju chłopców, nie patrzeć na te – jak wykrzyczała – makabry na ekranie.

– Czytałam kiedyś, że ekran komputera powinien stać tyłem do źródła światła, bo wtedy oczy mniej się męczą.

– Możliwe, ale chyba postawili jednak tyłem do drzwi, bo matka była zadowolona i nawet spuściła trochę z tonu. Przez jakieś pół godziny było cicho.

– To mogła pani odpocząć, pani Jadziu.

– Ładny odpoczynek! Staralam się zebrać myśli, jak uspokoić moich sąsiadów. I postanowiłam, że dziś wieczorem, jak przyjdzie mój wnuk, to zrobimy w domu taki „kacynjamer” że im uszy spuchną. A co? Zobaczą, jak to jest!

– Pani Jadziu! Tak nie można! Zło trzeba dobrem zwyciężać!

– Ale ja już nie mogę! Oszaleję! Te gniewne okrzyki, „kwieciste wiązanki”... To musi się skończyć. Przecież przez ścianę pachnie nienawiścią, jakimś nieodwracalnym złem! Czasem myślę, że tam prędzej czy później dojdzie do rękoczynów. Oni się pozabijają z tego gniewu. Klóćą się o wszystko. I to najczęściej z powodu drobiazgów, jak ten komputer, czy też zupa jarzynowa, która była za gęsta i za słona!

– Kto tu mówi o zupie jarzynowej? Uwielbiam jarzynową! Pani Jadziu, pani ją dzisiaj gotuje, czy pani Monika? Drogie sąsiadki – zaprosicie „słomianego wdowca” na talerz zupy? Żona, co prawda, zostawiła mi parę słoików, ale wróci dopiero za dwa tygodnie z sanatorium.

– O! pan Władysław! Dzisiaj mam ogórkową – zawołała Monika. – Zapraszam! Adaś i Kasia bardzo lubią, jak pan opowiada o historii Polski, o królach i królewnach... Ale teraz może pan pomoże nam wymyślić, co zrobić, bo rozmawiamy o bardzo głośnych sąsiadach pani Jadzi.

– Tam panuje notoryczna niezgoda, nawet nienawiść do siebie nawzajem! A przecież to jest rodzina, bliskie sobie osoby! Stale ktoś chce dominować nad drugim – rodzeństwo nad sobą, matka nad ojcem – i odwrotnie. Gniew, sprzeczki, złość – przesłaniają chyba umysł i uczucia tych ludzi – wyrzuciłam z siebie niemal jednym tchem.

– Pani Jadziu! Pani się na nich gniewa!!! To słyhać w pani głosie, prawda pani Moniko? Tak to już jest, że gniew wzbudza gniew! Ale to jest równia pochyła!

– Panie Władysławie! Chyba ma pan rację... To przez tych moich sąsiadów wpadam w grzech ciężki? O Boże!

– Nie każdy gniew jest grzechem! – powiedział dobitnie pan Władysław. – Jest też tzw. święty gniew, czyli święte oburzenie! Słyszałem kiedyś, że nieraz nie tylko wolno się gniewać, ale wręcz mamy taki obowiązek! Czyli gniew nie zawsze jest negatywny, bo może być protestem przeciw niesprawiedliwości.

– I tu właśnie chyba o to chodzi – odezwała się cicho Monika. – Gniew pani Jadzi to jest, myślę, wyraz skrajnej bezsilności. Zdenerwowanie jest wtedy moralnie obojętne, ale usłyszałam jakiś czas temu na kazaniu, że „miłość nie unosi się gniewem, że wszystko przetrzyma, że grzeszy gniewem ten, kto czegoś, co jest dla niego nieprzyjemne, nie znosi z cierpliwością, kto złości się na tych, którzy nie robią tego, czego on chce; grzeszy ten, kto go świadomie dopuszcza do głosu, prowokuje jego wybuchy i podtrzymuje go, czyli traci nad nim panowanie” – dodała Monika spokojnie, z wyraźnym wzruszeniem.

– A ja pamiętam takie zdanie: „Jeżeli w sercu żywisz gniew – idź i pojednaj się z bratem, a potem przynieś dar swój przed ołtarz”! – aż rozplakałam się po tych słowach!

– Pani Jadziu! Proszę się uspokoić! – poprosił zatroskanym głosem pan Władysław. – Mam taką propozycję. Zaprosi nas pani na supę jarzynową i wrócimy do tematu. Pomyślimy, jak problem tych sąsiadów rozwiązać, dobrze? A co pani na to, pani Moniko?

– Uważam, że pomysł jest super! Możemy się spotkać za parę dni. Może w następną środę, bo wtedy Kasia i Adaś pojedą z moimi rodzicami nad morze, a mąż jeszcze będzie w delegacji. Przyniosę coś na deser.

– A ja winogrona z mojej działki. Pięknie obrodziły – dodał pan Władysław.

– Oczywiście potwierdzam zaproszenie! Cieszę się, że jesteście kochani ze mną i chcecie mi pomóc. A teraz muszę wracać, bo widzę, że zapomniałam zabrać smartfona. Jeśli córka zadzwoni, a ja nie odbiorę, to będzie się niepokoić.

Czekałam na tę środę z pewnym napięciem, ale i z nadzieją. Sytuacja za ścianą niewiele się zmieniła. Tym razem kłótnie dotyczyły nowych firanek i uwag w dzienniczku syna, który uparcie twierdził, że to niesprawiedliwe, że nie ukradł koledze słuchawek, tylko je pożyczył, bo na lekcji było nudno. Ale wpis w e-

dzienniku nie pozostawiał złudzeń. Gdyby to był dawny papierowy dzienniczek ucznia można by było wyrwać kartkę i zatuszować sprawę! – pomyślałam. A tak, ta cyfryzacja ułatwia rodzicom wychowanie.

Kolejnego dnia już przy śniadaniu wybuchła awantura o dostęp do internetu. Żona wyzywała jakiegoś urzędnika z administracji, bo jej zdaniem – sieć działała zbyt wolno, internet się zawieszał, w poprzednim mieszkaniu było lepiej, a tutaj to...

I żadne wyjaśnienia jej nie zadowalały! Dostało się też mężowi, bo przecież on, jako wzięty informatyk powinien natychmiast to zmienić! Dowiedziałam się przy okazji, że ma on na imię Witek, a synowie to Kacper i Darek.

Nie zliczę już tematów i spraw, które przez te parę dni były „omawiane” za ścianą. Tylko wspomnę, że dotyczyły one też spraw damsko-męskich typu: „– Witek, nie mogłeś oderwać oczu od tej panienki przy kasie! Ty...” – i tu następował ciąg niecenzuralnych epitetów. I vice versa: „– Zośka, coś się tak wymalowała? Przecież pracujesz zdalnie. A właściwie, czy ty pracujesz, czy spotykasz się na cyberrandkach, co? Ja ci jeszcze pokażę! Pożałujesz! Ja ci wyłączę na stałe kamerkę, bo wiem, że twój szef to

znany...” itd., itp. Kalumniom i przekleństwom nie było końca... Towarzyszyły temu jakieś trzaski, hałasy i tępe odgłosy, jakby jakieś ciężary spadały na podłogę.

We wtorek rano spotkałam niespodziewanie na schodach panią Zofię z chłopcami. Poznałam ją po głosie, bo mówiła dobitnie do synów, żeby na wycieczce byli grzeczni, słuchali pani wychowawczynie, żeby ubierali polary jak będzie chłodno, żeby zjedli obiad, a w nocy szczególnie nie rozrabiali! Odganiaли się od tych rad jak od osy, zapatrzeni nawet na schodach w swoje smartfony. Po chwili podjechała pod wejście srebrna toyota, a mama zawołała tylko:

– Podziękujcie wujkowi, że was odwozi pod szkołę!

I odwróciła się w moim kierunku. Zobaczyłam wtedy, że ma podbite oko i siniaki na dłoniach, którymi trzymała się kurczowo poręczy, usiłując wejść na schody.

– Czy pani pomóc? Źle się pani czuje? – zapytałam przerażona jej wyglądem.

Spojrzała na mnie nieobecny, ale jednak smutnym wzrokiem i wyszeptała:

– To nic takiego. Jestem zmęczona, wyprawiałam dzieci na wycieczkę szkolną. Teraz trochę odpocznę i

muszę usiąść przy komputerze, bo szefowa będzie czekała na zestawienie tylko do dziesiątej. A wczoraj wieczorem nie mogłam go skończyć, bo...

– Szefowa? Pani ma szefową, a nie szefa?

– Tak – odparła zdziwiona – w naszym pionie pracują same kobiety.

– To dlaczego mąż krzyczał, że maluje się pani dla szefa-kobieciarza, mówiąc delikatnie?

– O czym pani mówi? Skąd pani wie, co mówił mój mąż? – zapytała jednym tchem, po czym zbladła i przysiadła na schodach.

– Pomogę pani, pani Zosiu, wejść jeszcze na te parę schodów. Pójdziemy do mnie, zrobię herbatę i porozmawiamy, dobrze?

– Dobrze – usłyszałam cichą odpowiedź.

Wstawiłam czajnik, wyjęłam z puszki „rezerwowe” ciasteczka, które u mnie w kuchni zawsze czekają na niespodziewanego gościa i intensywnie myślałam, jak porozmawiać z sąsiadką, żeby jej nie zranić, nie spłoszyć... A tu nagle odezwał się dzwonek do drzwi.

– Ojej, pani ma gościa, pójdę sobie, nie będę przeszkadzać – zerwała się z fotela pani Zosia.

– Proszę zostać, nic się nie dzieje, zobaczę, kto dzwoni. Może to ktoś z administracji, widziałam ogłoszenie, że będą roznosić podwyżki czynszu.

Ale za drzwiami stała nieznana mi, piękna dziewczyna w błękitnej sukience. Uśmiechnęła się promiennie na mój widok i podała mi dużą, również błękitną kopertę.

– Czy pani jest z administracji? – zapytałam bez większego przekonania i pochyliłam na moment głowę, aby zobaczyć, co zawiera koperta.

W środku były paski zapisanego papieru i spore czerwone serce. Tekst na nim umieszczony pulsował dziwnym światłem: „Kochaj i rób, co chcesz”! Słowa te wydały mi się znajome.

– Co to jest?! – zawołałam, ale gdy podniosłam oczy, dziewczyny już nie było. Nie było jej także pod drzwiami sąsiadów na naszym piętrze... Pomimo zaskoczenia, nie czułam lęku, ale miałam pokój w sercu.

– Pani Zosiu, to nic ważnego! – zawołałam już z kuchni. – Zaraz będzie herbatka i coś do niej.

Pomimo tego, że trzymałam ostrożnie niebieską kopertę, do ręki wzięłam czajnik, zalałam herbatę, wyłożyłam ciasteczka na talerz i jeszcze chwyciłam

talerzyki i cukiernicę – ku mojemu zdziwieniu wszystko doniosłam bezpiecznie do pokoju. Moja sąsiadka po pierwszym łyku herbaty, zapytała ponownie:

– Skąd pani wie to wszystko o nas, o moim mężu, o tym, jak ja mam na imię? Przecież się nie znamy, wprowadziliśmy się tu niedawno...

– Pani Zosiu! Tu po prostu ściany mają uszy! A państwo rozmawiacie ze sobą zwykle podniesionymi głosami – zaczęłam delikatnie.

Po tych słowach pani Zosia zakryła twarz dłońmi i z piersi wydarł jej się głuchy szloch! Co robić? Miałam totalną pustkę w głowie. Pytać o szczegóły? Pocieszać? Prawić kazania? I wtedy pomyślałam o niebieskiej kopercie, czerwonym sercu – i spontanicznie przytuliłam płaczącą sąsiadkę. Po czym wyjęłam z koperty pierwszy pasek papieru, po nim kolejne i tak – korzystając ze wskazówek tam zawartych, prowadziłam opowieść pani Zosi. To było niesamowite przeżycie! I jeszcze jedno – pani Zosia nie widziała tej koperty, nie słyszała szelestu papieru... A mimo to, mówiła, mówiła...

– Gniew, krzyk, kłótnie, wyzwiska były obecne w moim życiu od zawsze. Większość dzieciństwa spędziłam

w domu dziecka, bo rodzicom-alkoholikom sąd odebrał prawa rodzicielskie, gdy miałam cztery lata. Wychowawcy, nauczyciele, koledzy, koleżanki – nie przebierali w słowach. Żeby przeżyć, nie dać się stłamsić, musiałam być głośna, buńczuczna, bo to się głównie liczyło. Szkodzenie sobie nawzajem, zemsta – to były moje życiowe drogowskazy.

Najszybciej jak mogłam, wyszłam za mąż – za starszego kolegę z „Bidula”. Wydawało mi się wtedy, że go kocham, że jak założymy rodzinę, wszystko się ułoży. Skończyłam liceum ekonomiczne, mąż zdobył uprawnienia kierowcy tirów i pracujemy w znanej firmie przewozowej, ja – w administracji, Witek jeździ w dalekie trasy. Przez kilkanaście lat po ślubie mieszkaliśmy u teściów i miałam wrażenie, że powtarza się moje dzieciństwo – ciągłe awantury, pijaństwo, bijatyki. Tam wychowywali się nasi chłopcy i już widzę, że przesiąkli na dobre tym okropnym stylem życia, rozmowy, rozwiązywania spraw krzykiem, gniewem, złością... Żeby ratować rodzinę, naciskałam na Witka, wzięliśmy kredyt i kupiliśmy to mieszkanie. Ale jak pani słyszała – złe nawyki nie zostały w poprzednim lokalu... Witek nie pije,

to mu trzeba przyznać, ale jest o mnie chorobliwie zazdrosny. A z drugiej strony – on sobie używa z „Tirówkami”. I bezczelnie pokazuje mi ich zdjęcia i selfi – w niedwuznacznych pozach! A wczoraj... – tu pani Zofia nagle ucichła.

Wyciągnęłam więc kolejny pasek papieru, podałam jej następną paczkę chusteczek i usłyszałam:

– A wczoraj wieczorem miarka się przebrała! Zażądał ode mnie, żebym podjechała z nim na pobliski parking, gdzie zostawił tira i dołączyła do „Gorącej Wioli”, bo w przeciwnym razie on ją tu przyprowadzi, do naszej sypialni. Protestowałam – i teraz mam tego skutki – pokazała na oko i liczne sińce. – W końcu się położył, bo rano o piątej miał wyjechać w trasę do Norwegii. Nie mogłam spać, obmyślałam zemstę. Gdyby nie dzieci, pewnie bym z sobą skończyła... Mam całą reklamówkę psychotropów, które mi lekarz regularnie przepisuje, ale ich nie brałam, bo skutki uboczne były bardzo niemiłe. Cicho wstałam, w kuchni rozgniotłam dwa blistry tabletek i chciałam mu je wsypać do termosu z kawą, jaki zwykle zabierał w trasę, ale... powstrzymała mnie myśl, że jak

zasłabnie na drodze, może spowodować wypadek o nieobliczalnych skutkach.

Pocieszyłam się: co się odwlecze, to nie uciecze. Znajdę inny sposobny czas, a teraz rozpocznę ciche dni. Nie odbieram telefonów od niego, jak wróci – nie będę z nim rozmawiać. Będę się gniewać w milczeniu! A jednocześnie rozgłoszę na Facebooku, Twitterze, Messengerze jak mąż mnie gnębi! Tylko muszę... No właśnie, pani Jadziu, która godzina? Muszę bieć do komputera, szefowa mnie zamorduje!

– Spokojnie, jest dopiero dziewiąta – wskazałam na zegar wiszący obok regału.

– Niemożliwe, pani Jadziu! Przecież chłopcy pojechali na wycieczkę o dziewiątej właśnie, a ja tu już siedzę i siedzę. Ten zegar jest zepsuty, prawda?

– Nieprawda, to jest właściwa godzina. Zdaży pani zrobić to sprawozdanie dla szefowej?

– Tak, to proste, ale jak to zrobię, wrócę jeszcze na chwilę. Tak tu u pani dobrze!

– Oczywiście, zapraszam! Została mi jeszcze jedna karteczka w kopercie – mruknęłam do siebie.

Pani Zosia wróciła za pół godziny. Przyniosła torebkę z białym proszkiem i reklamówkę z lekami na dowód tego, że jej zamiary są poważne.

– Zostawię to u pani, bo jeszcze chłopcy to odkryją, dobrze?

Wyciągnęłam ten ostatni pasek papieru i odwiodłam ją od zamiaru zabójstwa męża mówiąc, zgodnie z „niebieskim poleceniem”, że to straszny pomysł, że poszukamy innych rozwiązań.

Zupę jarzynową jedliśmy już we czwórkę!

Dom marzeń – czyli wyobcowany właściciel

Największym złodziejem czasu jest własne lenistwo

Agnieszka Lisak

– Halo, proszę pani, proszę pani, przepraszam! – usłyszałam nagle.

Spieszyłam się na autobus, ale odwróciłam się odruchowo.

– A, to pan z elektrowni! Przecież rano spisał już pan mój licznik.

– Tak, spisałem, ale teraz chodzę tu ponownie, bo kilku lokatorów nie zastałem. Został mi tylko dom sąsiadujący z pani posesją. Ten pod numerem siedem. Czy pani może wie, kiedy kogoś tam zastanę? Bo już poprzednio zostawiłem w skrzynce karteczkę z prośbą o przesłanie SMS-em stanu licznika, ale nic nie otrzymałem. Chciałbym rozliczyć się z tego rejonu, bo wybieram się na emeryturę.

– Nie mam pojęcia, kiedy ktoś będzie w tym domu. Ja widywałam tu tylko sporadycznie młodego mężczyznę, tak po trzydziestce, jak wjeżdżał do garażu takim wypasionym czarnym autem. Nigdy mi nie powiedział

nawet: „Dzień dobry”. Zresztą, widzi pan – ten dom, to istna forteca.

– To niesamowite – dodał pan Marek, starszy pan z naprzeciwka, który, jak to często czynią emeryci, wyglądał właśnie przez okno. – Pani Bogusia się na tym nie zna, ale ja jestem inżynierem, co prawda już na emeryturze, ale...

– A pan nie wie, kiedy zastanę tu tego lokatora? – zapytał prędko inkasent, bo wyczuwał, że starszy pan szykuje się na skrupulatne wyjaśnianie specyfiki tej willi.

– Nie wiem, proszę pana, bo prawdę mówiąc, to nawet nie wiadomo, kiedy on jest, a kiedy go nie ma.

– Ale może chociaż wieczorem bywa? Światła palą się w oknach? Może czasem samochód stoi pod domem? Zostawię panu swój numer komórki, mógłby mi pan puścić SMS-a: „Jest”. Ja mieszkam stosunkowo niedaleko, wezmę rower i podjadę, dobrze?

– Niech pan zostawi numer, ale mówię panu, że zlokalizowanie tego pana jest raczej niemożliwe. Ten dom jest obsługiwany przez komputer, a dokładniej – przez sztuczną inteligencję. Dużo o tym czytałem. Panie! Jak on podjeżdża tą swoją limuzyną, to brama garażu sama się otwiera, nawet bez pilota! To samo furтка i drzwi

wejściowe. Żaluzje są zaprogramowane i też spuszcza je i podnosi komputer, a nie lokator, bo wtedy bym wiedział, że on jest w środku. To samo ze światłami. Same się zapalają i gasną, żeby złodziej myślał, że robi to człowiek. Na tle firanek widać nawet przesuwane sylwetki osób, ale to jest tzw. wizualizacja multimedialna.

I wie pan, co jeszcze? Facet musi mieć słabość do kotów, bo na schodach siadają często dwa rude kocury, a rano i wieczorem o ściśle określonej porze, z okienka w piwnicy wysuwa się regularnie taka wajcha, jakby łopata, na której stoją miseczki z mokrą i suchą karmą. Pojemnik na wodę stoi obok stale, ale woda w nim jest uzupełniana też automatycznie. Ciekawy jestem, czy te miseczki napelnia jakiś robot? Czy on otwiera puszki i worki z wiktem kocim? I potem je myje? Mówię panu – „cuda wianki”!

– Panie inżynierze! Ciekawe rzeczy pan opowiada, ale ja muszę już iść. Trudno, jak nie zastanę tego pana, to wrócę tu jeszcze w przyszłym tygodniu. Te wszystkie urządzenia zużywają prąd, więc nabiera się na jego rachunek na pewno niemało. Do widzenia!

– Niech pan poczeka, panie inkasencie. Właśnie idzie moja siostrzenica, która pracuje w firmie sprzątającej i raz czy drugi miała zlecenie od tego pana. Była w środku, może ma do niego numer?

Pani Renia nie miała numeru do pana spod siódemki, ale dodała do opowieści wujka, że prawdę mówiąc nie wie, po co ją zaprosił do sprzątania, jak i tak „samo się wszystko robi”. Automatyczne odkurzacze, myjki, mopy, same dojeżdżają w najdalsze kąty. Potężne okna myte są co dwa dni też automatycznie. Pralka, zmywarka – to pikuś przy innych aparaturach! Lodówka samoistnie łączy się z komputerem i zamawia brakujące produkty przez internet, przelewy dokonują się automatycznie, a specjalny wysięgnik wyjeżdża z bocznych drzwi, gdy kamera zobaczy dostawczy samochód kuriera!

– A ogród? Mówię panu – też sam się uprawia, podlewa, trawa się kosi itp.

– No tak, to jest tzw. inteligentny budynek, widziałem takie w internecie – podsumował emerytowany wujek inżynier.

Jak wróciłam od lekarza, przed domem numer siedem nikogo już nie było. Ale gdy za jakieś pół godziny

wychodziłam jeszcze do pobliskiej „Żabki” – traf chciał, że mój sąsiad właśnie podjechał. Zaczęłam gwałtownie machać, żeby się zatrzymał i pomogło, bo po chwili wyszedł z garażu i spojrzał na mnie pytającym wzrokiem.

– Co się stało? – zapytał wolno, dziwnie cichym, jak na takiego chłopa, głosem.

– Jestem pana sąsiadką spod piątki. Jeszcze się nie poznaliśmy, prawda?

– Mam na imię Jacek – przedstawił się równie cicho. – A o co pani chodzi?

– A ja jestem Bogusia. Ojej, zaczyna padać. Może pan wejdzie do mnie na chwilę, powiem, w czym rzecz, bo jeszcze sąsiad z naprzeciwka będzie potrzebny. Zaraz zobaczę, czy jest w domu.

– Dobrze, wejdę, ale wciąż nie wiem, co jest grane.

– Proszę usiąść, pewnie pan zmęczony po pracy. Zaraz zadzwonię do pana Marka, jak tu mówimy o nim – „emerytowanego inżyniera”, bo tak się zawsze przedstawia... Panie Marku, dobrze, że pan odebrał, bo jest u mnie pan Jacek, nasz sąsiad spod siódemki. Może mi pan puścić SMS-a z numerem inkasenta z elektrowni? Albo

przekażę telefon i niech panowie sami się już umawiają, tak chyba będzie najlepiej, prawda?

– Pani Bogusiu, a mogę zejść osobiście na moment, bo też chciałbym poznać naszego sąsiada.

– Oczywiście, panie Marku, zapraszam. Może obaj panowie skusicie się na kawałek jabłecznika, który rano upiekłam? Panie Jacku, co pan na to?

Wyraźnie zdezorientowany gość, kiwnął jednak potakująco głową, więc prędko wstawiłam czajnik z wodą na herbatę. Szykując filiżanki, talerzyki, łyżeczki, serwetki..., zerkałam na pana Jacka, opowiadając jednocześnie, że chodzi o odczyt licznika prądu, że to dosyć pilne, że inkasent prosił pana Marka o pomoc w kontakcie z panem...

– Ach, to o to chodzi! Rzeczywiście dostałem jakiś czas temu pisemną informację, że pracownik nie może dostać się do licznika prądu i jakoś to zlekceważyłem. Mówi pani, że ten pan chce tu podjechać na rowerze? Zaraz zadzwonię, jak dostanę do niego numer i się umówimy. Nie będę już państwu sprawiać kłopotu. A może w przyszłości stan licznika prądu też będzie można odczytywać radiowo, tak jak licznik wody.

– Dobrze jednak, że tak jeszcze nie jest, bo byśmy się nie poznali – zaczął od progu pan Marek, słysząc ostatnie zdanie gościa. – Jestem emerytowanym inżynierem! – przedstawił się energicznie.

– Już wiem od pani Bogusi, że ma pan na imię Marek. Ja jestem Jacek!

– No to super, żeśmy się w końcu poznali – pan Marek był pełen entuzjazmu. – Już przekazuję numer inkasenta, będzie nam wszystkim wdzięczny za pomoc. Sympatyczny gościu!

– No, jest herbata! Proszę się częstować ciastem!

– Pięknie pachnie – powiedział pan Jacek niespodziewanie ciepłym głosem. – Taki sam zapach pamiętam z rodzinnego domu...

– To chyba nie było tak dawno, prawda Jacku? Jesteś przecież bardzo młody. Mogę ci mówić po imieniu? Mógłbyś przecież być moim wnukiem.

– Będzie mi bardzo miło – uśmiechnął się po raz pierwszy Jacek. – A jabłecznik jest wspaniały! Ja jadam potrawy z cateringu, najczęściej z tzw. diety pudełkowej, którą mi przywozi kurier raz na dobę. To taka oferta, zwłaszcza dla osób samotnych!

Wydawało mi się, że głos mu zadrgał przy tych słowach, więc wsunęłam na talerzyki kolejną porcję ciasta. Na szczęście odezwał się pan Marek:

– Domyślałem się, że pan mieszka sam, ale tak do końca nie byłem pewien, bo czasem przez okno widać kilka postaci. To wirtualni mieszkańcy, prawda? Jestem zafascynowany tą elektroniką, która pana zewsząd otacza, kapitalne rozwiązania, wygoda, bezpieczeństwo, wyręka w pracach domowych i ogrodowych. Tylko pozazdrościć!

– To nie jest idealne rozwiązanie...

– No tak, zawsze można jeszcze coś ulepszyć, wiem o tym.

– Nie o to chodzi, panie Marku. Ten dom zrobił ze mnie kalekę. Fizycznego i psychicznego... to moje fatum!

– Co takiego? Dlaczego pan tak mówi? Naprawdę?

– Tak, wiem to na pewno!

Jacek aż wstał z krzesła i widzieliśmy, jak buzują w nim emocje. Poprosiłam więc, że jeżeli chce, to niech nam o tym opowie. Nastąpiła cisza, gdy nagle... Siadł z powrotem, wziął łyk herbaty i oto co usłyszeliśmy:

– Dostałem ten dom z całym jego wyposażeniem w prezencie od rodziców, jako nagrodę za dyplom z

wyróżnieniem. Skończyłem prawo kilka lat temu, mam prywatną kancelarię adwokacką. Jak się państwo domyślicie, moi rodzice są ludźmi bardzo majątymi. Mają sieć hoteli na wszystkich kontynentach i wiecznie są w podróży, hołdując zasadzie „pańskie oko konia tuczy”. W czasie szkoły i jeszcze na studiach mieszkałem u dziadków, ostatnio już tylko z babcią. Gdy i jej zabrakło – przenieśliem się tutaj. W założeniu miałem robić karierę prawniczą i pomnażać niemały już przecież rodzinny majątek. Takie wartości zostały mi wpojone. Zero kolegów, koleżanek, wolność od prac „przyziemnych”. Nawet to mi się podobało. Nie miałem obowiązków jak kolega, który zrobił dziewczynie dziecko, ożenił się pod naciskiem i ugrzązł w zupkach, pampersach itp. A tak dobrze się zapowiadał. Ale w praktyce moja sytuacja okazała się, mówiąc delikatnie – nietrafiona. Wpadłem w totalne lenistwo i to takie pod wieloma postaciami! Do pracy w kancelarii czułem ogromną niechęć, po prostu nie chciało mi się pracować, wołałem odpoczywać. Taką przyjąłem filozofię życiową. Być może to zniechęcenie było spowodowane lękiem przed negatywną oceną ze strony rodziców, kolegów prawników, klientów

kancelarii. Po jednej, dwóch przegranych sprawach, co przecież zdarza się w pracy adwokata, pojawiły się krytyczne opinie, zdania typu: „nic z ciebie nie będzie, po co się tyle uczyłeś?”. Po co mi to? Lepiej więc – myślałem – nic nie robić niż robić źle! Przyłgnęła do mnie ksywa „Leniuch”! Inni mówili: „No przecież jest taki nadziany, więc niech inni zasuważą”. Gnuśność była długo ze mną na co dzień! Pojawił się lęk przed trudem. Lęk przed wyjściem ze strefy komfortu. Nienawidziłem zmęczenia, potu, wysiłku. Chciałem tylko świętego spokoju! Bałem się zmian i dążenia do nowych celów. Jeździłem do kancelarii tylko sporadycznie, tłumacząc sobie, że personel wie, co robi. Gdy dostałem za to potężną reprimendę od rodziców, przez pewien czas zaczęłam „miarkować” pracę. Funkcjonowałem na zasadzie: „zrobię to zaraz, za chwilę”. Odkładałem, przeciągałem, celebrowałem wykonywane zadania. Szukałem „obiektywnych utrudnień”, nie spieszyłem się, robiłem długie przerwy. A kolegom mówiłem, że stawiam na perfekcyjne wykonanie. I rzeczywiście, pragnąłem idealnego dzieła – ale bezskutecznie. Pokusy niepracowania czyli tzw. rozpraszacze – powiadomienia,

SMS-y, różne dźwięki, obrazy – zrobiły swoje. A najgorsze było to, że zwątpiłem w sens tego, co robię! Więc nie robię NIC! Kasa nakręca się sama, także w domu wyręcza mnie technika. Taka, która niejednego zachwyca i zbija z nóg. Pani Bogusiu, panie Marku! Jestem leniuchem! Pamiętam z dawnych lat szkolnych, jak katecheta tłumaczył: „Lenistwo to jeden z grzechów głównych”. Nie jestem zbyt wierzący, a prawdę mówiąc – nie jestem wcale i z Panem Bogiem nie mam nic do czynienia, ale widzę, że to jednak nie jest życie.

– Jacku! Dzięki za to, że otworzyłeś się przed nami! Dobrze myślisz! Szkoda życia na nicnierobienie – pan Marek był wyraźnie poruszony.

A ja dodałam:

– Twoje lenistwo jest częściowo zawinione, a częściowo – nie wynika z twojej winy. Ja bym je rozpatrywała nie tylko w kategorii wagi grzechu, bo na to musisz sobie odpowiedzieć we własnym sumieniu, ale zwróć, proszę, uwagę na „drugą stronę medalu” – ile dobra, które mogłeś uczynić – zaniedbałeś. Lenistwo to „mrożenie” dobra, to niedosyt miłości. Bo ta niechęć do wysiłku, który implikuje dobro, to jest najgorszy owoc

lenistwa. Ale na pociechę ci powiem Jacku, że można to naprawić niemal od zaraz. Pomyślisz – jak?

Jacek pokiwał głową, podziękował za poczęstunek i wyszedł. Spojrzałam za chwilę za nim przez okno i oniemiałam! Siedział na schodach do swojego domu, obok niego siedziały dwa rude kocury i co chwilę, ocierając się o jego nogi, pochłaniały garść karmy z jego dłoni. Potem je przytulił na kolanach i czule głaskał po łepkach, od czasu do czasu podnosząc rękę i przecierając oczy. Czyżby płakał?

Może to dobry początek... – westchnął pan Marek...

Dobry dom, czyli tak powinno się żyć

Ten dom zdobi, kto w nim mieszka

Czesław Mirosław Szczepaniak

– Cześć Marta! A właściwie powinnam powiedzieć:
Witaj w domu, podróżniczko! Brakowało nam Ciebie!

– No cóż, szef kazał, to pojechałam do tej Szwecji. Niby nie tak znów daleko, ale zawsze to nie to, co w domu. Trochę przydługi był ten staż, ale sprawdziło się znane powiedzenie, że podróże kształcą! Przez trzy dni pisałam sprawozdania – spotkania, tabelki, liczby... Rzeczywiście mają ci Szwedzi organizację i zarządzanie na super poziomie. Wszystko chodzi jak w zegarku!

– Marta, tylko radzę ci, nie mów, że u nas jest gorzej, bo szef się wkurzy i odbije się to na nas, dobrze? Może powiedz, że u nich jest inaczej, no bo technika tak nie zawodzi, mają więcej funduszy niż my...

– No dobrze, powiem tak, jak podpowiadasz, np. że tam jest chłodniej, nie ma takich upałów jak w Polsce, więc kabelki od internetu się nie przegrzewają. Może uwierzy? Bo pamiętam, jak się denerwował, że telekomunikacja z wójtami, burmistrzami i prezydentami

miast nie doszła do skutku, bo nie działały łącza, czy też zasięg nie wszędzie był zadowalający i słychać było tylko pojedyncze sylaby. Wszyscy się wtedy śmiali i poszła fama, że marszałek województwa „szczeka” na swoich podwładnych. Ci najbardziej złośliwi nazywali go Burkiem lub Azorem.

– No, już dosyć wspomnień, dziewczyny. Zaraz zacznie się posiedzenie sejmiku, pamiętacie, że dzisiaj w znacznie poszerzonym składzie? – włączyłam się energicznie. – Marta, tylko nie przynudzaj, bo w programie jest osiemnaście punktów, niestety w większości dotyczących pieniędzy, projektów, subwencji, więc wiecie z doświadczenia, że dyskusja będzie burzliwa. Sprawozdanie z delegacji przecież złożyłaś. To niech sobie chętni poczytają.

Marta rzeczywiście powołała się na swoje opracowanie, mówiąc jedynie w punktach, co w nim zawarła, ale dodała coś, co ją szczególnie zafascynowało:

– Szanowni Zebrani! Posłuchajcie o pewnej inicjatywie władz Sztokholmu. Prawdę mówiąc, nie spodziewałam się, że – jak to się u nas mówi – ci „zimni” Szwedzi coś takiego wymyślą. Otóż zostałam zaproszona

na zebranie do urzędu, który jest odpowiednikiem naszego sejmiku. I na początku posiedzenia odbyło się uroczyste wręczenie nagród i dyplomów laureatom konkursu „Najlepszy Dom”, w różnych kategoriach, np. szpital, szkoła, urząd, apteka, przedszkole, hotel, dom seniora... Wszystkich tu nie wymienię, ale było ich chyba przeszło dziesięć. Z początku myślałam, że tu chodzi o architekturę, o ocenę funkcjonalności, wyglądu budynku na zewnątrz i wewnątrz, o oryginalność konstrukcji itp. Ale nie były to kryteria konkursowe. Z przeczytanych uzasadnień dowiedziałam się, że – mówiąc najogólniej – komisja brała pod uwagę relacje międzyludzkie wśród pracowników i ludzi odwiedzających te domy – czy są one oparte na uprzejmości, cierpliwości, łagodności, roztropności, sprawiedliwości... Czy ludzie są radośni, pełni pokoju, czy sumiennie, wiernie wypełniają swoją rolę w tych społecznościach, czy potrafią się opanować w konfliktowych, trudnych sytuacjach, czy pomimo zakazu nie odbywają się tam jakieś zakrapiane imprezy...

Tyle zapamiętałam z momentu gratulacji płynących w stronę laureatów. A ci byli zadziwieni, że się tu znaleźli, że są jacyś nadzwyczajni, najlepsi... Gdy dziękowali za

wyróżnienie, dyrektorka jednej ze szkół powiedziała, że to przecież jest normalne, że tak ją rodzice nauczyli żyć. Ktoś reprezentujący chyba jakiś urząd związany ze służbą zdrowia stwierdził, że u nich praktykuje się – zarządzanie przez miłość. I że nie wyobraża sobie, żeby mogło być inaczej, jeżeli miłość jest na pierwszym miejscu.

Zajrzałam później do regulaminu tego konkursu, bo byłam ciekawa, skąd jury miało informacje o tym, co i jak się dzieje pod tym czy innym dachem. No i oczywiście – w dobie społeczeństwa informacyjnego – możliwe było wydawanie swojej opinii przez ankiety internetowe. Były one anonimowe i cieszyły się wielkim zainteresowaniem. Super rozwiązanie, bo to tak, jakby ktoś zaglądał do tych domów przez dziurkę od klucza.

Szanowni Państwo! Przepraszam, jeżeli mówiłam zbyt długo. Dziękuję za uwagę!

Rzeczywiście, teraz dopiero zdałam sobie sprawę z tego, że na sali w czasie wypowiedzi Marty panowała kompletna cisza! Coś niebywałego! Ale gdy Marta skończyła, na pulpicie prezydium obrad zaczęły migać lampki sygnalizujące prośbę o udzielenie głosu. Sekretarz aż złapał się za głowę i spojrzał na marszałka, ale ten nie

okazał zdenerwowania, wręcz przeciwnie, zachęcił zebranych do wyrażania opinii na omówiony temat.

Opinie, jak to zwykle bywa, były różne. Jedni byli zafascynowani tym konkursem i już planowali, jakby to zrobić w polskich gminach czy miastach, że to będzie wymagało dużo wysiłku, ale warto, bo tak to już jest, że zło jest lepiej widoczne niż dobro, że najłatwiej narzekać na tego czy tamtego, niż ich chwalić... Natomiast „opozycja” torpedowała pomysł konkursu:

– Co my będziemy wychodzić przed szereg. Gdyby Warszawa nakazała takie badania, to co innego, jak trzeba to trzeba – oznajmił jeden z burmistrzów.

– To nie będzie obiektywne przedsięwzięcie – twierdził wójt z południowej części województwa, bo jak u niego w gminie był konkurs na najpiękniejszą palmę wielkanocną, to na pewno działało kumoterstwo i przekupstwo, bo jemu się wcale ta wybrana palma nie podobała. O wiele ładniejszą zrobiła jego żona i to wszyscy widzieli. – I powiedziałem, że w przyszłym roku wracamy do starych zasad – wygrywa najdłuższa palma! Komisja ją zmierzy na oczach wszystkich i będzie sprawiedliwie. A tu, jak zmierzyć, czy ktoś jest uprzejmy

czy dobry? Chyba wysokością łapówek, jakie dostaje za załatwienie jakiejś sprawy, co?

Po tej wypowiedzi na sali dało się słyszeć pomruk aprobaty, a może protestu? Trudno powiedzieć...

W końcu marszałek zarządził głosowanie. Tajne, żeby otrzymać szczere odpowiedzi. Opcja „Najlepszy Dom” wygrała przewagą siedmiu głosów, a Marta wraz z zespołem została zobowiązana do przygotowania regulaminu konkursu w naszym województwie, harmonogramu, terminów i formy jego przeprowadzenia.

Za parę tygodni do urzędów miast i gmin trafiły komplety dokumentów związanych z konkursem, a w pierwszą sobotę czerwca, w pięknej sali teatru im. Stefana Jaracza, odbyła się uroczysta gala. Oprócz laureatów i przedstawicieli ich społeczności lokalnych, przybyło wielu oficjalnych gości, prezydentów miast, burmistrzów i wójtów oraz, jak się zorientowałam, również przeciwników tego przedsięwzięcia. Mam nadzieję, że po tej uroczystości zmienili oni swoje zdanie!

Było pięknie! Bukiety kwiatów, które są przecież darem miłości dla obdarowanych, łączy radości i wzruszenia... Gospodarze „Dobrego Domu” (bo taką

nazwę przyjęto u nas po przemyśleniu i konsultacjach w zespole Marty) odbierali statuetki i dyplomy, a osoby wybrane, odwiedzające „Dobre Domy” – dziękowały za wszelką pomoc udzieloną im z miłością, cierpliwością, zrozumieniem ich sytuacji i przede wszystkim – z dobrocią... Wszystko nagrałam, posłuchajcie!

– Dzień dobry. Mam na imię Maria i strasznie się boję mówić, bo jeszcze nigdy nie stałam przed mikrofonem. Ale spróbuję, bo wiem, że właśnie tak mogę podziękować za dobro, które otrzymałam od Pana Boga, przez ręce naszego księdza proboszcza Jana i księdza wikarego – Macieja.

Mieszkam w niewielkiej górniczej osadzie. Mój dziadek i ojciec pracowali na kopalni, mój mąż – również. Ale parę lat temu zginął tragicznie w czasie wybuchu gazu podczas szychty. Zostałam sama z trójką dzieci. Ksiądz proboszcz nie wziął ani złotówki za pogrzeb, a także wtedy, gdy później prosiłam o odprawienie Mszy świętej za duszę mojego męża.

Kopalnia owszem, pamiętała o nas. Dzieci dostawały paczki na Mikołaja, ja pisałam o zapomogi i zawsze otrzymywałam jakieś pieniądze. Ale dwa lata temu

kopalnię zamknięto. Wiele rodzin zostało pozbawionych dochodów. Mężowie, ojcowie – zostali bezrobotni, bo u nas ciężko o inną pracę. Jednak dawałam sobie jakąś radę, dorabiałam szyciem, zwykle nocami, bo przy trójce dzieci we dnie pracy dość.

Aż nadszedł ten tragiczny wieczór grudniowy. Nasz skromny domek, w którym się wychowałam – spłonął. Jak potem stwierdziła komisja, z powodu nieszczęsnego przewodu kominowego. A przecież co roku przychodził kominiarz, robił przegląd i ponoć wszystko było w porządku.

Dzięki Bogu udało nam się uratować! Ksiądz Maciek był pierwszy na miejscu, bo jechał właśnie od chorego. Bezpiecznie wyprowadził dzieci i mnie z ognia, a potem wrócił jeszcze po naszego kotka Filemonka, który ze strachu schował się pod szafą. Nigdy nie zapomnę szczęśliwych oczek Zuzi tulącej ulubieńca w ramionach. Zaraz potem zawalił się dach. Jak przyjechała straż pożarna, dogasiła tylko pogorzeliśko...

Na dworze było wtedy -14°C. Zawiadomiony o naszym nieszczęściu ksiądz proboszcz, bez wahania zaprosił nas na plebanię. Ksiądz Maciek zresztą od razu dał mi kluczyki

od swojego samochodu i włączył ogrzewanie. Przez chwilę jeszcze rozmawiał ze strażakiem i... pojechaliśmy do naszego nowego domu! Dobrego domu!

Całe pięterko na drewnianej, zabytkowej plebani było do naszej dyspozycji. Mimo tak wielkiego nieszczęścia, czuliśmy się jak w niebie! Ksiądz Maciek przyniósł nam gorące mleko z miodem. Filemonek dostał talerzyk Whiskasu, bo na plebani też są kotki, nawet trzy!

Nie będę już opowiadać, jak pięknie spędziliśmy Święta Bożego Narodzenia na plebanii, bo i tak mam cały czas łzy w oczach...

Ksiądz Maciek zorganizował błyskawiczną zbiórkę odzieży dla nas, dzieci dostały zabawki, tornistry... cała nasza osada włączyła się do pomocy.

Drodzy Państwo! Tyle dobra jest wokół nas! Nasza plebania dostała statuetkę „Dobry Dom”! Gdy ksiądz proboszcz powiedział o tym w niedzielę w czasie ogłoszeń parafialnych, był wyraźnie zażenowany. Zapamiętałam piękne zdanie:

„– Zrobiliśmy z księdzem Maciejem to, co powinniśmy. I wy wszyscy, kochani, też powinniście dostać takie

wyróżnienie. Statuetka będzie więc przechodnia! W czasie kolędy – odwiedzi też wasze Domy!”.

Gdy Maria odeszła od mikrofonu, rozległy się gromkie brawa. Ksiądz proboszcz Jan i ksiądz Maciej weszli na scenę na wyraźną prośbę wielu widzów, a za chwilę wbiegło też dwóch chłopaczków, prowadząc młodszą siostrzyczkę, Zuzię. Nie było tylko Filemonka, ale on pewnie byłby najbardziej zestresowany...

Stałam blisko sceny i nagle usłyszałam za sobą głos kamerzysty:

– Nie sądziłem, że są jeszcze u nas tacy wspaniali księża! A tyle się słyszy o nich złego...

Po krótkiej przerwie, na scenę została poproszona kolejna osoba. Przy mikrofonie postawiono krzesło, a dwóch młodych ludzi, potem się okazało, że wnuków pana Juliusza, pomogło wejść dziadkowi na scenę i usiąść. Odezwał się wzruszonym, słabym głosem:

– *Mieszkam od urodzenia w przedwojennej kamienicy na peryferiach dużego miasta. Jak po mnie widać – mieszkam od wielu lat. I pewnie dlatego wybrano mnie na dzisiejsze spotkanie, na którym świętujemy przyznanie naszej Administracji statuetki „Dobry Dom”. Wnuk mi*

zwracał uwagę, że powinienem mówić nie „Administracja”, ale „Zarząd Budynków i Lokali Komunalnych”, czyli ZBiLK. Pozwólcie jednak, Szanowni Słuchacze, że będę mówił po staremu.

Od wielu lat mówiło się: idę do Administracji. Kiedyś ten urząd mieścił się w specjalnie wybudowanym baraku, na skraju naszego osiedla, teraz to piękne, nowoczesne biuro, naszpikowane komputerami, mieszczące się na parterze i pierwszym piętrze odrestaurowanej kamienicy. Wisi tam nawet szyld, że to zabytek.

Ale nie dlatego jest to „Dobry Dom”. Głosowaliśmy „za”, gdyż w środku pracują ludzie o złotych sercach! Oczywiście przez lata urzędnicy się zmieniali, jedni przechodzili na emeryturę, inni zmieniali miejsce pracy, jeszcze inni – szli prosto do nieba – jestem tego pewny, jak dwa razy dwa! Przychodzili nowi pracownicy i o dziwo, też byli aniołami na ziemi! Tyle się słyszy o złych ludziach, którzy za biurkiem myślą tylko o sobie, uważają się za najważniejszych, że zjedli wszystkie rozumy i są niemal pępkiem świata. A petent stoi zmieszany, zestresowany przed okienkiem i czeka, aż panie skończą przekąskę lub pogawędkę o wczorajszym serialu.

W naszej Administracji nie tak się dzieje! Panie, bo jest ich zdecydowana większość, starają się zrozumieć sytuację i problem, z którym człowiek przychodzi, troszczą się o to, żeby starsza osoba nie czekała godzinami w kolejce, a gdy załatwienie sprawy trwa dłużej, zapraszana jest do specjalnego kantorka, gdzie może usiąść i wszystko wyjaśnić, a nie sterczeć przed okienkiem. Pracownicy pomagają skompletować potrzebne dokumenty i wypełnić druki.

W naszej dzielnicy jest wielu starszych ludzi, emerytów, również rencistów, osób niepełnosprawnych, a i domy są wiekowe, więc nasze drogie panie urzędniczki mają pełne ręce roboty. Ale pomimo zmęczenia, uśmiech nie znika z ich twarzy.

Gdy rozniosła się po dzielnicy wieść, że wygraliśmy w głosowaniu i ja jadę w delegację, ludzie zaczęli przychodzić do mnie i opowiadać, jak to dostali dofinansowanie na remont (a właściwie wygospodarowanie z dużej kuchni) łazienki i ubikacji, bo przez wiele lat chodzili za potrzebą do „domku z serduszkami” na podwórzu lub na półpiętro na klatce schodowej, jak to Administracja załatwiła im

sfinansowanie naprawy pieca kaflowego, chociaż Unia Europejska niechętnie na to patrzy, bo jest tendencja likwidacji pieców na rzecz bardzo drogiego ogrzewania gazowego lub elektrycznego. A było to możliwe, bo do wniosku załączali opinię zduna, że palenie w tym piecu zagraża życiu i zdrowiu mieszkańców – tak poradziła pani Lodzia z działu technicznego. A taka naprawa lub tzw. przestawienie pieca to potężny koszt, rzędu paru tysięcy złotych. Gdzie nas, emerytów na to stać?!

Przyszła też do mnie pani Stasia, chociaż ma już prawie dziewięćdziesiąt lat, i bardzo prosiła, żebym dziś opowiedział, jak to podczas remontu elewacji kamienicy, w której mieszka samotnie na parterze, uciekł przez okno jej ulubiony kocurek Filip i biegał po rusztowaniach, aż w końcu dostał się na stromy dach i bał się zejść, mimo nawoływania z podwórka stroskanej właścicielki i wabienia go różnymi przysmakami. Zadzwoniła wtedy do Administracji, bo robotnicy jakoś wcześniej skończyli tego dnia pracę. I sam pan kierownik przybiegł, wspiął się po rusztowaniu, złapał Filipka i oddał rozradowanej właścicielce.

Również pan Juliusz otrzymał wielkie brawa!

Kolejny do mikrofonu podszedł mężczyzna w średnim wieku, wyraźnie utykający na lewą nogę. Przez dobrą chwilę nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Dopiero gdy z trudem podeszła do niego dziewczynka z długimi blond włosami, trzymająca białą laskę, i wzięła go za rękę, odchrząknął i rozpoczął:

– Mam na imię Bogusław, a to jest moja córka Irmina. Z Wydziałem Budowy Maszyn Politechniki w moim mieście, który dziś odebrał nagrodę „Dobry Dom”, nie mam nic do czynienia. Ani tam nie studiowałem, ani nie pracowałem. Więc dlaczego dziś tu stoję? Otóż przed dwoma laty potrafił mnie tramwaj i włókł ładnych parę metrów po torowisku, właśnie wis-à-vis tego budynku. Śledztwo wykazało, że motorniczy był pijany i nie zauważył, że przechodzę na zielonym świetle. Portier stojący przed wejściem i opróżniający popielniczkę, którą w czasie przerwy studenci napelnili po brzegi, błyskawicznie zadzwonił po pogotowie i policję. Dwóch młodych ludzi, teraz wiem, że studentów politechniki, podbiegło do mnie i rozpoczęło akcję reanimacyjną. Mówili mi potem, że gdy przyjechali ratownicy medyczni, pochwalili ich za profesjonalizm. To uratowało mi życie i

zdrowie, bo zapobiegło niedotlenieniu mózgu. Ortopedzi poskładali moje poharatane nogi, chociaż czeka mnie jeszcze jeden zabieg. Lekarze mówią, że będę chodzić normalnie.

Ale nie powiedziałem jeszcze najważniejszego. Oczywiście pomogła mi rehabilitacja, ale gdy w szpitalu okazało się, że konieczna jest operacja, lekarze załamali ręce, bo nie mieli zapasu krwi odpowiedniej dla mnie. Mam bowiem bardzo rzadką grupę. Nie było jej też w Wojewódzkiej Stacji Krwiodawstwa, ani w szpitalach bliższych i dalszych.

Moi studenci – Olek i Rysiek, którzy po południu przyjechali do szpitala z moją teczką, którą znaleźli w krzakach obok torowiska, zareagowali natychmiast. Napisali na wydziałowym WhatsAppie apel o oddawanie krwi tej grupy i nie tylko, bo każda krew jest stale potrzebna, a jej zapasy są niewielkie. Tak zwykle bywa od czerwca do września, bo to jest czas wzmożonych wyjazdów i niestety wypadków też.

Moją krew AB Rh- oddał jeden z asystentów Katedry Elektroniki. To chyba był cud, bo taką krew ma tylko 1% populacji. Thumnie stawili się też studenci, pracownicy

administracji, a także profesorowie i adiunkci, w sumie – kilkaset osób. I co ważne – Wydział Budowy Maszyn to nadal jest „Dobry Dom”, bo akcje oddawania krwi odbywają się tam cyklicznie już od dwóch lat.

Jak ja dziękowałem Panu Bogu za uratowanie mi życia. Sam wychowuję Irminę, która jak widzicie Państwo, jest niewidoma. Żona umarła zaraz po jej urodzeniu. Gdybym umarł i ja – zostałaby sierotą.

I jeszcze wspaniała wiadomość – Olek i Rysiek zorganizowali internetową zrzutkę na operację oczu Irminy. Długo szperali w internecie, są w tym bardziej biegli niż ja, i znaleźli klinikę w Bostonie, której lekarze podejmą się zabiegu. Poruszyli niebo i ziemię, już we wrześnie lecimy za ocean.

Pan Bogusław przytulił córkę i oboje się rozplakali. Zresztą nie oni jedni na tej sali...

Jako ostatnia zaplanowana była wypowiedź pani Dominiki z Pomorza. Ale przed sceną zrobiło się jakieś zamieszanie, po czym przy mikrofonie pojawił się najpierw dziecięcy wózek z chłopczykiem, a dopiero po chwili zobaczyłam wchodzącą Dominikę.

– Drodzy Państwo! Przepraszam za chwilę opóźnienia, ale mój synek Miłosz jest jeszcze bardzo mały i gdy nie ma mnie w pobliżu – płacze rozpaczliwie. Myślę, że nie będzie Państwu przeszkadzać, bo gdy będę kołysać wózkiem, z pewnością uśnie.

W tym momencie odezwały się brawa na znak, że Miłosz jest mile widziany. Jak się zorientowałam po pierwszych słowach Dominiki, to właśnie on jest głównym bohaterem. Dominika kontynuowała:

– Dziękuję jurorom za to, że mogę tutaj podzielić się swoim świadectwem, ale zapewniam Państwa, że na moim miejscu mogłoby się znaleźć wiele kobiet z mojej okolicy. Dziękuję też za to, że właśnie nasza Klinika Ginekologii i Położnictwa zdobyła tytuł „Dobrego Domu”. Wszyscy – i my pacjentki, i personel kliniki – bardzo się cieszymy i czujemy się zaszczytzeni.

A teraz parę słów o sobie. Otóż dwa lata temu weszłam do tej kliniki z zamiarem pozbycia się „kłopotu”, a prościej – z zamiarem zabicia mojego dziecka. Były ku temu medyczne przesłanki, badania prenatalne wykazały znaczne nieprawidłowości rozwijającego się płodu. Gdy z mężem poznaliśmy te straszne wyniki, byliśmy przerażeni

– nam ma się urodzić niepełnosprawne dziecko? Coś okropnego! W naszych rodzinach nie zdarzały się takie przypadki. Będą nas żałować, na ulicy wytykać palcami, a my całe życie będziemy się nim zajmować! A jeżeli urodzą się nam kolejne dzieci i też takie będą? Nie byliśmy wtedy gotowi, żeby pokochać to dziecko.

Po kolejnych badaniach w naszej specjalistycznej i wysoce skomputeryzowanej klinice, lekarz wzbudził w nas nadzieję, że może nie będzie tak bardzo źle, jak sądzono na początku. Rozmawiał ze mną szczerze, bardzo ciepło i serdecznie.

Po wyjściu z gabinetu ordynatora usiadłam na korytarzu przy oknie, patrzyłam w niebo i klóciłam się z Panem Bogiem. Płakałam, płakałam..., bo jednak źle będzie. Pamiętam – to był piątek, na oddziale był spokój, tylko za ścianą, gdzie chyba był oddział położnictwa, rozlegał się raz po raz płacz dziecka. Nagle podeszła do mnie pielęgniarka i po prostu mnie przytuliła. Poczulałam się jak w ramionach mamy, nawet trochę ją przypominała. Powoli się uspokajałam i za chwilę wyszeptałam jej do ucha:

„– Do poniedziałku muszę podjąć decyzję – aborcja i we wtorek wypis do domu, czy zostaję w klinice na stałej obserwacji aż do porodu. Nie wiem, co robić. Przeraza mnie wizja długich miesięcy na oddziale, nie cierpię szpitali. Jako dziecko dużo chorowałam i wiem, co to znaczy. Boję się, że po tym oczekiwaniu urodzę jakiegoś potworka! I co z nim będzie? Umrze od razu, czy po paru latach w jakimś zakładzie? Widziałam kiedyś film z takiego miejsca. To był bardzo smutny reportaż. A gdyby tak ten zlepek komórek usunąć z mojego organizmu?” – wróciłam do pierwszej wersji – „to na pewno szybko zapomnę o tym problemie, skończę doktorat, mąż wyjedzie na staż naukowy do Stanów...”.

W tym momencie przerwała mi pani Miecia, czyli moja szpitalna „mama”:

„– Dominiko, zapewniam cię, że nie zapomnisz. Do końca życia będziesz pamiętać. Tak mówią kobiety z tzw. syndromem poaborcyjnym. Wiem też z doświadczenia wielu lat pracy, że wyniki mogą się zmienić na lepsze, że przeprowadza się operacje dziecka jeszcze przed jego narodzeniem. Dziecko, kochana Dominiczko, my tu się czujemy jak w domu. Jest tu zawsze kilka mam, które

muszą być pod stałą kontrolą lekarza, bo ciąża jest zagrożona. Jak one się pilnują, jak się niepokoją czy dotrwiają do porodu, czy nie poronią... Jak czekają na to dziecko, jak je już kochają... Oj, dzwoni któraś mama z sali 223. Przepraszam cię, kochana”.

I znów zostałam sama ze swoimi myślami.

W niedzielę dyżur miał lekarz, który mnie prowadzi. Nie pytał na szczęście, czy już podjęłam decyzję. Gdy po południu po wizycie poszli już moi goście, kuzynka i mąż, którzy stale namawiali mnie do zabiegu, byłam całkowicie zdezorientowana i bardzo już tym wszystkim zmęczona. Ale wtedy zajrzała do mojej sali młoda pielęgniarka, której nigdy przedtem nie widziałam. Bardzo sympatyczna, powiedziałabym – promieniująca życzliwością, chęcią pomocy, miłością.

„– A pani jest tu nowa, czy może na praktyce?” – zapytała moja sąsiadka z łóżka pod ścianą.

„– Nie, wróciłam właśnie z urlopu macierzyńskiego. Mam cudowną córeczkę, chcecie zobaczyć zdjęcia i filmiki z Paulinką w roli głównej?”.

Wcale nie miałam ochoty na oglądanie cudzych dzieci, ale dziewczyny z sali piąty z zachwytem, przekazując sobie

z rąk do rąk smartfona pani – jak się w międzyczasie okazało – Oli. Gdy stanęła obok mojego łóżka, z grzeczności wyciągnęłam rękę po telefon.

Najpierw zobaczyłam obraz USG, na którym pokazano kształty malutkiego dzieciątka, a potem spod szaroczarnego tła ukazała się nagle maluteńka rączka, machająca w moją stronę. Zaraz po tym nastąpiło zdjęcie noworodka w „pierożku” z koca, poruszającego rączką w identyczny sposób! Przeżyłam szok! To nie zlepek komórek, ale mały człowieczek! A ja miałabym go skrzywdzić?

W poniedziałek powiedziałam lekarzowi, że zostaję i urodzę to dziecko. Mąż nie odpowiedział mi od razu na SMS-a z moją decyzją. Zmartwiłam się, ale cóż, może się przekona.

Przez te długie miesiące odpędzałam myśl, że Miłosz będzie chory, niepełnosprawny. Czasem tylko wkradało się wątplenie... Mąż na szczęście odwiedzał mnie coraz częściej i podtrzymywał na duchu. Zaprzyjaźniłam się z moimi towarzyszkami w niedoli. Personel – cały, bez wyjątku – był wspaniały, profesjonalnie przygotowany do pracy, miły, serdeczny, uprzejmy, życzliwy. Przez te

miesiące nigdy nie byłam świadkiem jakichkolwiek konfliktów, nie usłyszałam złego czy niecenzuralnego słowa. Wiem, że w niejednej rodzinie panują gorsze relacje.

Lekarz pozwolił mi na niedługie spacerunki po terenie szpitala, była to zawsze jakaś atrakcja. Któregoś wieczoru, zwiedzając kolejne korytarze kliniki, zapuściłam się windą na drugie piętro. Na końcu, przy samych schodach natrafiłam na kaplicę szpitalną. Automatycznie nacisnęłam klamkę, była otwarta. W pierwszej ławce klęczała jakaś osoba i gdy odwróciła głowę, ze zdumieniem zobaczyłam, że to pani Miecia. Wyraźnie ucieszyła się na mój widok.

„– Pani Mieciu” – powiedziałam szeptem – „przecież o dziewiętnastej skończyła pani dyżur. Nie spieszy się pani do domu, trzeba przecież odpocząć”.

„– Dominiko, tu najlepiej odpoczywam, modląc się za ciebie i inne dziewczyny z oddziału. To moja druga zmiana. Przysiądź na chwilę obok mnie, proszę. Spójrz, jaki to piękny krzyż. Jezus wziął na siebie nasze słabości i choroby”.

„– Ale ja pokłóciłam się z Panem Bogiem! Zresztą nigdy nie byłam zbyt wierząca”.

„– Nie szkodzi! Wypłacz tu, przed Nim swoje troski, lęki, cierpienia, tak jak zrobiłaś to w moich ramionach, pamiętasz? Poproś, żeby synek urodził się zdrowy!”.

„– Nie umiem się już modlić! Mogę tylko tu posiedzieć z panią...”.

Pani Miecia skinęła głową i wzięła moją dłoń w swoje ręce. I tak trwałyśmy w milczeniu. Łzy bezszelestnie kapły z moich oczu na ręce pani Mieci...

Miłosz urodził się w terminie, otrzymał dziesięć punktów w skali Apgar. Zdarzył się cud? Pomyłka lekarzy? Takich specjalistów? Zawiódł sprzęt medyczny, USG pokazywało nieprawidłowy obraz? W naszej klinice, pełnej najnowocześniejszych urządzeń – to niemożliwe!

Na oddziale toczyły się takie dyskusje. Mój przypadek był omawiany na konferencji w Paryżu. Wielu nie skreślało znaków zapytania. A ja nie mam wątpliwości, bo w „Dobrym Domu”, którym jest nasza klinika, mieszka jeszcze KTOŚ! W małej kaplicy na końcu korytarza... Na statuetce jest przecież znamieny cytat: „Jeśli Pan domu

*nie zbuduje, na próżno się trudzą ci, którzy go wznoszą.
Ps. 127”.*

Dominika zamilkła, wzięła na ręce Miłosza, a na scenę wbiegł jej mąż z bukietem róż. I dopiero wtedy ludzie wstali i zaczęli klaskać. Wielu miało w oczach łzy!